Nr. 4 Poznań, dnia 24 stycznia 1909 r. Rok XIII.

Abonament
wynosi kwartalnie
na poczcie. . . 1,50
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97.
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

Kandydatura w Śremsko-Średzkiem.

Na innem miejscu znajdzie łaskawy czytelnik odezwę Prowincyonalnego Komitetu Wyborczego, ogłaszającą nazwisko kandydata na okręg śremsko-średzki i wzywającą do oddania nań głosu.

Kandydatem tym jest pan poseł dr. Felicyan Niegolewski z Poznania.

Upadła zatem kandydatura robotnicza. Upadła mimo energicznego, lubo nieco spóźnionego poparcia ze strony olbrzymiej większości prasy ludowej, mimo sympatyi, którą znalazła także w sferach nieludowych społeczeństwa naszego.

Naszem zdaniem przyczynił się do tego obrotu rzeczy brak dostatecznej jednomyślności w łonie całej prasy ludowej, a także ta okoliczność, że ze strony robotników samych za mało było nacisku w tym kierunku. Wedle nas najbardziej zaszkodziło sprawie zaangażowanie się pewnego wpływowego pisma poznańskiego, szczególniej przez robotników czytanego, za kandydaturą pana dra Antoniego Chłapowskiego, którego razem z narodową demokracyą popierało z zapałem zaiste lepszej godnym sprawy.

Stało się. Przeszła kandydatura dra Niegolewskiego, jako kandydatura „zgody“ rzekomo.

Przeciwko *osobie* pana dra Niegolewskiego nic zgoła do nadmienienia nie mamy. Cenimy w nim poważną i użyteczną siłę polityczną, schylamy czoła przed nieposzlakowaną czystością i zacnością charakteru kandydata, uznajemy jego wielką sumienność i pracowitość, jakiej daje dowody, piastując urząd sekretarza Koła sejmowego. Nadto jeszcze czysto osobiste względy sprawiają, że nam *osoba* pana posła Niegolewskiego wielce jest sympatyczna. Wszakżeż był on do niedawna nietylko jednym z głównych współwłaścicieli naszego pisma, lecz także głównym jego przedstawicielem. To też powitalibyśmy kandydaturę jego z wielkiem zadowoleniem, gdyby nie piastował już jednego mandatu, a głównie, gdyby się była wyłoniła w innych okolicznościach.

Tak, jak się sprawy ukształtowały w Śremsko-średzkiem, wybór właśnie tej kandydatury, skądinąd wszelkiego uznania godnej, nas żadną miarą zadowolić nie może.

Dla wyjaśnienia naszego stanowiska przedstawimy rzecz zupełnie bezstronnie.

Sprawa miała się jak następuje: Na liście średzkiej figurowały następujące nazwiska:

1. Ks. prałat Jażdżewski,
2. Adam Piotrowski,
3. Poseł dr. Niegolewski.

Na liście śremskiej zaś:

1. Franciszek Morawski,
2. Dr. Antoni Chłapowski,
3. Ks. prob. Olszewski.

Po ludzku sądząc powinni byli mieć największe szanse wyboru osoby na pierwszem miejscu wymienione, następnie panowie Piotrowski i dr. Chłapowski, na końcu dopiero poseł Niegolewski i ks. prob. Olszewski.

Przeciwko wyborowi ks. prałata Jażdżewskiego można było wytoczyć jako argument burzliwy przebieg zebrania średzkiego, tudzież dość znaczną niepopularność tej kandydatury w szerokich kołach ludowych. Zgoda. Lecz cóż dało się powiedzieć przeciwko kandydaturze p. Morawskiego? Jak powszechnie wiadoma, kandydatura ta została jednomyślnie na śremskim wiecu postawiona. Mimo to, a więc mimo wyraźną wolę wyborców nie znalazła większości w Komitecie Prow.

Przechodzimy do numeru drugiego.

Przeciwko kandydaturze p. dra Chłapowskiego można było powiedzieć, że jest to kandydatura wybitnie partyjna, odrzucona stanowczo w Środzie, zwalczana ostro w prasie. Lecz cóż było można powiedzieć przeciwko kandydaturze p. Piotrowskiego? Zasadniczo nie zwalczał tej kandydatury nikt rozsądny, natomiast prawie cała prasa oświadczyła się za p. Piotrowskim. Śmiało rzec można, że za jedynym wyjątkiem kół narodowo-demokratycznych — tam bowiem sentyment był przeciwny robotnikowi — wszędzie — nie wyjmując arystokracyi—uwydatniały się mniej lub więcej żywe sympatye dla posła-robotnika. Wszystko to nie trafiło do przekonań Komitetu Prowincyalnego.

Natomiast wybrano na kandydata jednego z tych panów, którzy — jak to wynika z list — najmniej, zdawało się, mieli widoków wyboru. Dlaczegoż nie przechyliła się szala na korzyść ks. prob. Olszewskiego? Czy dla tego, że lękano się wzmożenia wpływów duchownych w Kole parlamentarnem?

Oficyalnym kandydatem został poseł Niegolewski, mąż, któremu ani się śniło ubiegać się o mandat, gdyż już jeden sprawuje; mąż, który lubo jest

dzielnym posłem, to jednakże nie może uchodzić za tak wyjątkową siłę parlamentarną, by złożenie aż dwóch mandatów w jego ręce było usprawiedliwione. Z nieprzepartą siłą narzuca się nam podejrzenie, że w sprawie tej pewną rolę odegrały wpływy narodowej demokracyi, która wyśmienicie potrafi chodzić około swoich interesów partyjnych i która na wszystkie wybitniejsze stanowiska wysuwa osoby sobie miłe, a już szczególnie zagięła parol na zdobycie decydujących wpływów w kołach poselskich. To też np. „Kuryer Poznański“ z wielkiem ukontentowaniem rozpisuje się o kandydaturze posła Niegolewskiego, chociaż poprzednio popierał kandydaturę p. dra Antoniego Chłapowskiego.

Co do nas, którzyśmy od samego początku stali twardo po stronie kandydatury robotniczej, jasną jest rzeczą, że z tego obrotu spraw zadowoleni być nie możemy.

Gdyby był wybór padł na pana Morawskiego — rzecz byłaby w porządku. Jeżeli jednak usunięto tę kandydaturę, dlaczegoż sięgano po osobistość umieszczoną na trzeciem miejscu, dlaczegoż nie wybrano p. Piotrowskiego? Śmiało rzec można, że kandydatura ta najwięcej wzbudzała zainteresowania i sympatyi i, uchwalona przez Komitet Prowincyonalny, byłaby wprost zelektryzowała lud na całej przestrzeni naszego zaboru. Kandydatura ta byłaby symbolem głębszej myśli społecznej, zadatkiem tyle reklamowanej demokratyzacyi społeczeństwa, znakiem dokonanego unarodowienia mas i dojrzałości politycznej ludu, której się dość nachwalić nie mogą niektórzy patentowi demokraci, gdy im chodzi o atut przeciw zachowawczym żywiołom naszym, a której istnienia zaprzeczają, gdy lud, wierząc w ich frazesy, domaga się faktycznego tej dojrzałości uznania.

Naszem zdaniem postąpił Komitet Prowincyonalny w tej sprawie niezgodnie z sentymentem przeważającej części wyborców w Średzko-śremskiem. Opinia publiczna zaś tą decyzyą wprost była zaskoczona. Ludzie czytając o niej oczom własnym wierzyć nie chcieli. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że okoliczność ta nie przyczyniła się do podniesienia powagi naszej władzy wyborczej i wzmożenia do niej zaufania.

Uchwała Prow. Komitetu Wyborczego — przyjęta z wielu stron z bardzo mieszanemi uczuciami — pokazuje, że zebrania wyborcze powinny bardzo sumiennie zdać sobie sprawę co do wszystkich kandydatów, jakich stawiają. Zwykle toczy się namiętna walka głównie około kandydata na pierwszem miejscu postawionego, dwóch dalszych przyjmuje się zazwyczaj daleko mniej krytycznie. Że tak być nie powinno — pokazuje wynik w Średzko-śremskiem.

Wszystko, co w tej sprawie powiedzieć można, obecnie praktycznego znaczenia mieć nie może. Mimo to krytyka jest na miejscu i potrzebna ze względu na przyszłość.

Na dziś dr. Felicyan Niegolewski jest oficyalnym kandydatem naszym i wyborcy w odnośnym okręgu winni wszelkich sił dołożyć, by kandydaturze tej najświetniejsze zgotować zwycięstwo. Należy pokazać przeciwnikom, że Polacy są karni i posłuszni władzy, którą sami sobie obrali, chociażby czasami decyzya tej władzy nie zgadzała się z wolą i sentymentem wyborcy.

Sądzimy, że stało się to po raz ostatni, iż władza wyborcza nasza pozwoliła sobie na takie — powiedzielibyśmy — prawie autokratyczne zignorowanie woli wyborców. Za trzy lata będziemy mieli nowe wybory, a wtenczas poseł robotnik musi zasiąść w parlamencie. Postara się o to prasa ludowa, a przedewszystkiem siła w jeden wielki związek skonsolidowanego stanu robotniczego polskiego.

Jeszcze raz wzywamy szanownych czytelników naszych, by mimo goryczy, jakie budzi uchwała naszej władzy wyborczej, oddali głos na pana posła Niegolewskiego, następnie, by już dziś rozpoczęli działać w tym kierunku, by przy przyszłych wyborach wybór posła robotniczego był zapewniony.

Do wyborców Polaków

w okręgu średzko-śremskim.

Dotychczasowy poseł do Parlamentu niemieckiego z okręgu średzko-śremskiego pan dr. Alfred Chłapowski złożył swój mandat i dlatego odbędą się dnia **6-go lutego r. b. w** powyższym okręgu wybory uzupełniające.

Na mocy § 9 regulaminu wyborczego zamianował niżej podpisany komitet wraz z delegatami okręgu średzko-śremskiego kandydatem poselskim do Parlamentu niemieckiego

p. dr. Felicyana Niegolewskiego z Poznania.

Podając powyższą uchwałę do wiadomości, prosimy gorąco wszystkich wyborców okręgu średzko-śremskiego, żeby dnia **6-go lutego** swój obowiązek wypełnili i głosy swe oddali

p. dr. F. Niegolewskiemu.

Władze zaś wyborcze okręgu średzko-śremskiego wzywamy usilnie, żeby agitacyą wyborczą jak najsumienniej się zajęły i przez mężów zaufania każdemu wyborcy na czas kartkę wyborczą z nazwiskiem pana **dr. F. Niegolewskiego** doręczyły.

Prowincyonalny Komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie.

Stefan Cegielski, prezes. *Ks. Wawrzyniak*, wiceprezes.
Dr. Krysiewicz, sekretarz. *M. Więckowski*, skarbnik.
Juljan Brzeski. *Władysław Grabski.*
Ks. Mojzykiewicz. *Dr. T. Szułdrzyński.*

Na widowni.

W Berlinie znowu rozpoczęła się praca w izbach ustawodawczych. Jak zazwyczaj zainaugurowała pracę sejmu mowa etatowa ministra finansów v. Rheinbabena. Pruski etat nie wygląda zbyt pocieszająco. Wszędzie deficyt tj. niedobór zjadliwe szczerzy zęby, zwłaszcza dochody z kolei znacznie się zmniejszyły, bądź to na skutek ekonomicznego przesilenia, jakie w ostatnich latach się uwydatniało, bądź to na skutek zaprowadzenia podatku od biletów kolejowych, co, jak wiadomo, spowodowało zmniejszenie się liczby podróżujących w wyższych klasach kolejowych, opodatkowanych wysoko, a pomnożeniem liczby podróżujących w klasach niższych, bądź to nisko opodatkowanych, jak trzecia np., bądź zupełnie wolnych od opłat osobnych, jak czwarta. Ogólny niedobór etatowy w Prusach na rok 1909 obliczono na 176 milionów marek. Wysoką tę liczbę wydobyto przez to, że przyjęto rachunek wydatków nadzwyczajnych bardzo wysoki, natomiast bardzo nisko sumę spodziewanych dochodów. Zrobiono to zaś dla tego, by udowodnić, że Prusy potrzebują nowych podatków i że nie są w możności wypłacić rzeszy należnych jej dodatków matrykularnych.

W bieżącym tygodniu odbywa się w sejmie krytyka etatu pruskiego. W przeszłym tygodniu zajmowano się sprawą braku pracy oraz interpelacyą w sprawie bezwstydnych produkcyi choreograficznych, urządzanych przez Towarzystwo dla t. zw. etycznej kultury „Schönheit“. Jak wiadomo, występowała w sali Mozarta w Berlinie tancerka Olga Desmond i popisywała się fantastycznemi tańcami przed licznie zebraną publicznością obojga płci i

to z najlepszych sfer towarzyskich. Przeciwko tańcom nic by nie było do nadmienienia, gdyby ich pomysłowa „artystka“ nie była wykonywała nago. Długo na ten skandal patrzała policya. Ta sama policya pruska, która z taką niezawodną pewnością potrafi rozwiązać zebranie polskie, gdy sądzi, że może ono grozić całości państwa pruskiego, nie mogła się zdobyć na zakaz tych sprosnych orgij, gdyż biurokratyczne formalności stały temu na przeszkodzie. W sejmie poseł centrowy Roeren w dosadni sposób scharakteryzował istotę tych rzekomo artystycznych libacyj choreograficznych i wezwał rząd do energicznego ich zwalczania. Występ centrowego posła, którego izba gorąco poparła, osiągnął skutek należyty.

W parlamencie także sprawy finansowe pierwszorzędną odgrywają rolę — tymczasem w obradach komisyjnych. Komisya budżetowa bada poszczególne tytuły etatu i zastanawia się nad tem, gdzieby małe oszczędności poczynić. Dotychczas bezskutecznie. Również komisya podatkowa nie zdołała w rachunku sekretarza skarbowości odnaleść ani jednej pozycyi, z którejby można skreślić wzmianki godną sumę. Tylko podatek od biletów ma być „zreformowany“ i to w tym sensie, że chcianoby podatek od biletów trzeciej klasy podwyższyć, a na bilety czwartej klasy, które dotąd wolne były od opłat osobnych, podatek nałożyć. W ten sposób nawet najubożsi musieliby się opłacać fiskusowi osobno, jeżeli im wypadnie podróż przedsięwziąć. Przeciwko tej „reformie“ należy jaknajenergiczniej remonstrować, byłoby to bowiem nowe obciążenie szerokich mas ludności, wyciśniętych jak cytryna przez ostre opodatkowanie bezpośrednie w Prusach, nie mówiąc już nic o szalonych pośrednich podatkach, które wprost niszczą ubogą rodzinę robotniczą.

Bardzo ważne są obrady komisyi, mającej przygotować zmianę konstytucyi i porządku dziennego parlamentu w myśl rozszerzenia praw jego wobec rządu i korony. Chodzi tu głównie o rozszerzenie prawa interpelacyi parlamentu, celem uzdolnienia parlamentu do większej niż dotychczas sprawności i zapewnienia mu więcej wpływów na sprawy dotąd bez współudziału parlamentu załatwianych. Parlament obecnie bowiem ma na ogół rolę głównie bierną. Rada związkowa przedkłada projekty ustaw, projekty, wyszłe z łona parlamentu rzadko tylko znajdują uwzględnienie. Na obsadzenie wysokich urzędów rzeskich parlament żadnego nie ma wpływu. O zagranicznej polityce państwa dowiaduje się parlament z przygodnych informacyj kanclerskich, gdy decyzya zapadła. Wszystko to niegodnem jest przedstawicielstwa płacącej wysokie podatki ludności i jakkolwiek zmiany tylko stopniowo prze-



Poseł centrowy Roeren w drodze do gmachu sejmowego.

prowadzone być mogą — to największy czas, by powziąć postanowienia co do reform tyle doniosłych. Również ważną jest sprawa odpowiedzialności kanclerskiej.

Z dziedziny społecznej zanotować należy ożywione rozprawy parlamentu na temat izb pracy tj. reprezentacyj, w których mają działać pracodawcy i pracobiorcy. Zdaje się, że ustawa odnośna szczęśliwie dobije do portu. Ze strony polskiej zażądał poseł Kulerski czystych izb robotniczych, złożonych z samych tylko robotników. Następnie zasługuje na uwagę przedłożenie przez urząd spraw wewnętrznych projektu o zwalczaniu nierzetelnego współzawodnictwa. Jestto dalsze rozbudowanie ustawy z r. 1896 i zasługuje na baczną uwagę ze strony kupców, gdyż projekt ten otwiera dość obszerne pole najrozmaitszych fatalnych możliwości w dziedzinie szykan i kruczków biurokratycznych, mogących uprzykrzyć życie kupcowi i tamować rozwój jego przedsiębiorstwa.

Narzekasz na twe cierpienia,
Przeklinasz losy człowieka,
Jak gdyby chwila ulżenia,
Tak była od nas daleka.
Dzień twego życia tak krótki,
I twoje słońce już nisko;
Na cóż więc żale i smutki,
Kiedy do kresu tak blisko.

Fr. Morawski.

G. Smólski.

Z podróży po Słowaczyźnie węgierskiej.

II.

Niedaleko znanego miejsca kąpielowego Piszczan na lewym brzegu Wagu, na wschód od Nowego Miasta na kończynach Małych Tatr, w komitacie nitrzańskim wznosi się na wysokiej górze ruina zamku Czachtyc (po węg. *Csejthe)* słynnego równie z okrucieństwa swej właścicielki Elżbiety Bathorowny, która zamordowała około 300 dziewcząt dla dostania z nich krwi, kąpiąc się w niej dla utrzymania swej piękności. Była to kobieta prześlicznej urody, której cyganka wywróżyła, iż kąpiąc się w krwi dziewczęcej utrzyma piękność swą do późnego wieku. Popełniała zbrodnie te straszne przez lat 10, w końcu (1614) stawiono ją przed sąd i skazano na śmierć przez spalenie, lecz tymczasem zmarła w więzieniu.

Od Beckowa zaczyna się komitat trenczyński a dolina Wagu staje się prześliczną. Odtąd aż do komitatu turczańskiego ciągną się po obydwóch stronach rzeki rozrzucone na skałach i na wierzchołkach gór warowne zamki po największej części w ruinach, których jest kilkanaście jako to, prócz wymienionych: Ilawa, Koszuta, Hryczow, Ljetawa, Streczno, Surza, Werszatec, Lednica, Podhradzie, Byteża, Bodatyn, Stary Strad i najpotężniejszy zamek w Trenczynie, największy i najwarowniejszy, z którego jako udzielny książę rządził Słowaczyzną Mateusz Czak w XVI. w. zwany Mateuszem Trenczyńskim. Marzył on o samodzielności Słowaczyzny, lecz tego dokonać nie mógł. Hrabiami na Orawie i Lipcowce byli Komorowscy (Piotr i Mikołaj) a do nich należały zamki orawskie, nadto zamki: Lekawa, Rużemberk, Swaty, Mikularz, Liptowski, Stary Hrad, Zabimec i Sklabina w „stolicy“ turczańskiej.

Polscy możnowładzcy uciskali lud słowacki, dla tego nie posiadali w ludzie tej sympatyi jak czescy możnowładzcy (Jerzy z Brandysowa) i wodzowie husytów, którzy tu także zapuszczali zagony. Czeszczyzna za ich pośrednictwem i przez braci morawskich zyskiwała na Słowaczyźnie coraz więcej wpływu i wypierała polszczyznę, a wszedłszy jako język piś-

mienny do kościołów i szkół słowackich oraz do piśmiennictwa, wywarła też nie mały wpływ na gwary ludowe oddalając je przez czeskie naleciałości głównie fanatyczne od polszczyzny, której gałęziami narzeczowemi były pierwotnie. Tylko w górach mniej dostępnych: w Beskidach, Tatrach i Karpatach zachowały ludowe gwary Słowaczyzny swą pierwotność, właśnie tam, gdzie gwary zachowały wszystkie właściwości polszczyzny i gdzie obecnie znajduje się ludność polska: w północnej części komitatu turczańskiego, w części liptowskiego, na Orawie, na Spiżu, jako też w górskich częściach komitatów rzuroszkiego, gumerskiego, zemnoskiego i aboskiego. Dowodem tego jest okoliczność, iż także na Morawach gwary górali na morawskiem Walasku stokami Beskidów i dalej na morawskiej Słowaczy stokami Białych i Małych Karpat aż ku Skalicom są tak zbliżone do polszczyzny, iż należałoby je poczytać raczej za polskie, niż za czeskie. Oto próbka gwary morawskich Wałachów:

Swoje liczka prziłożiła
Hned' obrazek ozdobiła:
Stań Łukaszi, stań ze spani,
Uż je obraz malowany,
Czanstochowu obiecany.
Zaprzahajte szest' par wołu:
Weźtie obraz k' Czanstochowu,
Budu lide putowali
Zdrawo tamo nabywali.

Morawscy „kopaniczarze", plemię słowackie, na południowy wschód od Węgierskiego Brodu śpiewają:

Chodzi rychtar (wojt) po dzedzinie (wsi)
Chłapcom rozkazuje

albo:

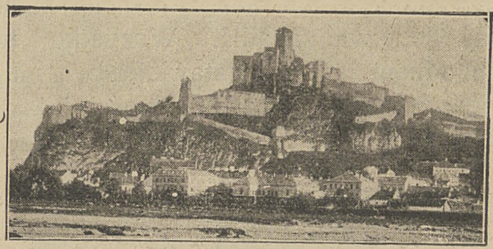
Ked' som maszirował,
Miła szaty prała,
Ja som si zaspiewał,
Ona zapłakała.

albo:

Uż je sedem tyżdniu,
Aj sedem nedzieli,
Czosme my ma miła
Społu nie sedzeli.

Górale jablonkowscy opowiadają po polsku: „Miaw mynarz cerem do wydaja. Tag potym rozeswaw po wszickich dżedzinach, gdo ma chańć coby prziszew. Tag jeden ojciec miaw syna. Slew ta z tem synem. Nabraw chleba do miecha. Co kąsek uśli, syn chciaw jeść.

W Tworkowce na Śląsku pruskim opowiadają po polsku: Jeden sedlak miał hranicu przi pańskem dworze,



Zamek trenczyński.

przi dworze była zahrada. Państwo chciało sie pozbyć teko sedlaka tag ho różnemi trapili ukustami.

Sabała zaś w Zakopanem śpiewał o Janku z Brzezawieki:

Oj kiebyh se wiedział, na którejbyh wisiec miał,
Od spodka do wierchu, powybijacbyh jom dał
Ej od spodku talarhami, a od wirchu dukatami,
A na wirchu złotu kawku, tam położu moju hławku.

Koło Bardjowa w tak zwanej Rusi zakarpackiej (węgierskiej), graniczącej z Słowaczyzną, śpiewa lud:

Ked' ja iszoł od kurimi kukuricu młacic,
Cepi sze mi połamali, muszeł som sze wracic,
Cepi sze mi połamali, bilen sze mi skriwił
Ach, Boże mój premileni, z czem sze budzim ziwił?

Słowacy węgierscy śpiewają:

Nebudem, nebudem w tej Bystrici bywac,
Mutna woda teczie, ne budem ju pijac.
Zawiejże wetriczku po stromoch, po skale,
Aby uz prestały serdca mojho żiale.
Zawiał wietor zawiał na urpińskiej skale,
Ale nie odniesioł z mojho serdca żiale.

Oto druga ich śpiewka:

Za Luborcom z tamtej strany
Bywa Janik malowany;
Za Lubarcom za turniczku,
Chodzi ku mnie na koniczku.
L'em kedz cecze woda mutna,
Że me pridze, wrze som smutna.
Ja na brižka czekam, stojim
S niepokojnym sercom swoim.
Ale kedy ho baczim okom,
Bezim k'Janiczkowi skokom.

Z powyższych przykładów sądzę, iż wynika, że zarówno Wałasi i Kopaniczarze morawscy, jak polscy górale beskidowi i tatrzańscy, Tworkowczanie na Górnym Śląsku, lud wrzekomo ruski z okolic Bardjowa i Słowacy węgierscy mówią gwarami należącemi do jednego języka — uwzględniwszy w niektórych z nich wpływ naleciałości czeszczyzny, jako też okoliczność, że polszczyzna rozwijając się wciąż, oddala się od gwar ludowych wogóle pozostających w zastoju, zastępując archaizmy — gwarami polskiemi, co razem pokazuje nam, jak wielki obszar etnograficzny: większą część Moraw (Lacko, Walasko, Hanę i Słowacz) część Śląska cieszyńskiego i Opawskie, węgierską Słowaczyznę w całości i znaczną część węgierskiej tak zwanej Rusi węgierskiej po części straciliśmy i tracimy przez naszą bierność i nieoględność narodową. Polacy tj. ta część ludności na Słowaczyznie węgierskiej, której gwarze żadną miarą polskości zaprzeczyć nie można, odkrytą została naukowo dopiero przez czeskich uczonych Szembera i Poliwkę. Wymieniają oni 104 osady polskie w powyżej wspomnianych częściach Słowaczyzny w liczbie około 90000 dusz (w r. 1876). Ja oceniam liczbę polskiej ludności w północnych Węgrzech tj. tej, która używa gwar z wszystkiemi właściwościami języka polskiego i nie wypaczonych czeszczyzną na conajmniej 300000 dusz ze względu na to, że w 104 polskich osadach w przeciągu 34 lat ludność się zwiększyła, następnie, że granice czysto polskich gwar idą dalej, aniżeli je czescy uczeni nakreślili, w końcu z przyczyny, że jak Polaków na Słowaczyznie urzędowo zaliczają do Słowaków, tak samo ich liczę w znacznej ilości na Rusi zakarpackiej do Rusinów, tem bardziej, iż polska ludność tej części Rusi jest obrządku grecko-katolickiego a na zewnątrz obrządek uważany jest za problem narodowości, a nadto na Rusi zakarpackiej prócz Niemców, o ile mi wiadomo, nikt z słowiańskich językoznawców stosunków językowych nie badał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z teki tetryka.

Kto zapewnia, że nigdy nie skłamał, ten, mówiąc to, kłamie właśnie po raz pierwszy.

* * *

Jedyna recepta na powodzenie brzmi: próbować, próbować i raz jeszcze próbować. Co nie starczy na surdut, starczyć może na kamizelkę.

* * *

Jak płomień jest bardziej widoczny w ciemności nocy, niż w świetle dziennem, tak każdy moment szczęśliwy znać wyraźniej w złej, niż w dobrej doli.

* * *

Jeżeli chcesz poznać bliźniego twego, wymiarkuj przedewszystkiem, co on uważa za śmieszne.

* * *

Dr. Kazimierz Krotoski.

Przyczyny upadku Polski.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Myśmy i Moskwę wypielęgnowali. Pierwotnie kolonia ruska była wśród plemion mongolskich długie czasy bez znaczenia. Witołd strącał wedle upodobania kniaziów moskiewskich i łatwo było nam zająć ten kraj, który niemal sam, zagrożony mongolską potęgą, zdawał się tulić pod skrzydła Rzeczypospolitej.

Moskwa długie lata pod jarzmem tatarskiem jęcząc, wyzwoliła się z tych pętów, a pierwszem znakiem jej życia — wojna przeciw Polsce. Tak zagarnęła Nowogrodzką Rzeczpospolitą, która błagała Polskę, by ją obronić od carów jarzma. My głusi pozwalamy dla miłej wygody na to, że jednę ziemię odrywano po drugiej.

Wreszcie Stefan Batory, genialny król, który poznał tego najniebezpieczniejszego wroga, zgniótł jego potęgę, przyparł go do muru. Chytry Iwan Groźny do Rzymu się o pośrednictwo udaje, obiecując, że się na katolicyzm nawróci. Stefan robi pokój, a Iwan i z papieża i z Polaków się wyśmiał.

Wreszcie ta Moskwa wewnętrzną niezgodą zachwiana, sama kładzie się u stóp Rzeczypospolitej. Napróżno Żółkiewski, najpiękniejsza postać w naszej historyi, niestety Kassandra polska, proszony przez samych bojarów błaga i zaklina Zygmunta III., by syna swego osadził na tronie moskiewskim, a tak wieczną groźbę usunął od Rzeczypospolitej. Tak minęła ostatnia sposobność przez niedbałość Polaków, przez upór wreszcie niedołężnego króla!

Dla czego pytać można Moskwa dla Polski tak groźną? Przyczyna leży w religijnym antagonizmie, jaki istniał między Kościołem, a schizmą, której właśnie przedstawicielką była Moskwa.

Polska miała Rusinów, Schizmatyków, pod swem panowaniem. Na nich musiała schyzmatycka Moskwa wpływ wywierać przyciągający. Rusinów ciągle podszczuwali rosyjscy popi przeciw Lachom, przeciw księżom i łacinnikom.

Cóż poczynili Polacy w tej mierze, by zapobiedz złemu? Unia Brzeska miała zespolić dwa różne wyznania.

Dzieło wielkich mężów, jakim był Skarga, w 1595 r. przyszło do skutku. Ale jak? Połowicznie, jak zawsze. Połączono kościoły, ale niedbano o wychowanie duchowieństwa ruskiego, które jak przedtem uczyło się nadal w schizmatyckiej Moskwie lub Wołoszczyznie. Rozumie się, że wychowańcy takich szkół nie mogli być za unią i za Polską. Biskupów ruskich zamiast wciągnąć do senatu i zamienić ich przez to we wiernych sług Rzeczypospolitej, odsunięto, bo biskupi polscy nie chcieli zasiadać wespół z biskupem tegoż samego Kościoła, dla tego, iż był tylko unitą. Nie dziw więc, że to duchowieństwo ruskie musiało być nieprzychylne Lachom, że ono było najusłużeńszem narzędziem Moskwy, która nie szczędziła pieniędzy, by ciągle wzniecać ruchy kozackie i hajdamackie. To jej zawsze łup bogaty na ziemiach polskich przynosiło. — Jak ta Moskwa później przedzierzgnięta na Rosyę pod Piotrem Wielkim już od roku 1723 faktycznie stała się panią Polski, to już do katastrofy tragedyi należy, jaką jest historya naszego narodu; nam tylko o wykrycie winy tragicznej chodziło. Ta zaś, jak w każdej prawdziwej tragedyi, leży w bohaterze samym, nie zaś po za nim. Nie chcę bynajmniej przeto winy całej nam tylko przypisać, zwalając ją z głów naszych wrogów. Oni zbrodnię popełnili, my tylko zawinili. *Wina nasza złożona jest ze sumy win zaniedbania, bo naród jak każdy człowiek, jeżeli za wszelkie dobra moralne i materyalne nie płaci pracą, wykracza przeciw odwiecznym* bezwzględnie obowiązującym prawom moralnym, które się tego domagają. („Die Weltgeschichte“ — powiedział Goethe — „ist das Weltgericht“.) — W dziejach narodu każda wina się mści sprawiedliwie i nic tego sądu uchylić nie zdoła.

W życiu jednostki nie uwidocznia się tak wyraźnie ta sprawiedliwość, bo śmierć, jakby zasłona, usuwa nam możność śledzenia jej. Dla tego poeta dramatyczny zmuszony sprawiedliwość tę wykazać, każe bohaterom tragicznym ginąć na scenie. Na scenie dziejowej bohater nie umiera. Narody żyją i konają wieki całe, na nich jak dobre tak i złe, ile zasłużone, w odpowiedniej spełnia się mierze. Wina wymaga zadość uczynienia i chcąc nie chcąc narody muszą pić gorżki kielich pokuty, jaki sobie przygotowały same i dopóty muszą cierpieć i dopóty muszą odpłacać się póki w dwójnasób nie wynagrodzą swego grzechu.

Jeżeli nie mogą uczynić tego, nie im gościć między żyjącymi; ich charakter narodowy, ta dusza narodu, ulatuje w państwo cieni dziejowych i zaklęta na bladych kartach historyi dla badaczy jest tylko widzialną, ciało ich staje się podścieliskiem nowego ducha, nowej narodowości, która nim owładnęła. Że dusza narodu polskiego nie uleciała, tego my dowodem. Mamy zapał to prawda; zapał piękny jest szlachetny i dalekonośny, bez niego narodu nie zbawi się, nawet nie obroni — jak mówi Kalinka, — lecz to wszystko o tyle jest prawdą, o ile ten zapał przyjmuje i wytrzyma próbę doświadczenia, rozwagi i czasu, inaczej nic nie wart i owszem szkodliwy jest, tworząc tylko same złudzenia, zwykłą strawę marzycieli. Zapałem samym nie stępimy nożów, godzących na życie naszej narodowości.

Nam trzeba przedewszystkiem męskiej pracy i to pracy każdego nad sobą, bo narody są pojęciem zbiorowem, w rzeczywistości istnieją tylko jednostki tworzące naród. Dopóki zatem jednostki i pracą nad sobą nie wyzbędą się zakorzenionych wad i błędów, dopóty o ojczyźnie mowy być nie może. Chcąc myśleć naprawdę o narodzie, trzeba rozpocząć od siebie. Wypełniając bowiem ściśle obowiązki własne, wypełniamy obowiązek względem narodu. Trwoniąc zaś i marnując kapitał fizyczny, czy moralny, czy materyalny, czy czas, czy zdrowie, czy pieniądz, grzeszymy nie tylko przeciwko sobie, lecz i przeciw narodowi.

Kto zatem lekkomyślnie zaniedbuje obowiązków własnych, a szczyci się patryotyzmem, jest kłamcą, ten przyczynia się do obniżenia wartości narodu, która jest wypadkową dodatnich stron nad ujemnemi. — Streszczając tedy wywody nasze podnosimy jako historyczne *fabula docet,* wypływające z dziejów naszych, iż skurczył i zgubił ojczyznę naszą brak solidarności, brak poczucia obywatelskiego, wygodne lenistwo i lekkomyślne sobkostwo u naszych przodków.

A teraz rozważmy, o ileśmy, my nieszczęsne tamtych pogrobowe dzieci, wyleczyli się z wad i błędów odziedziczonych po przodkach! Czy istnieje wśród nas solidarność w rzeczach ważnych? Czy szlachta, inteligencya łączy się z małomieszczaństwem, rolnikiem lub robotnikiem? Czy sumiennie spełniamy nasze obowiązki nie tylko stanu, ale społeczne, polityczne, religijne, obowiązki względem Boga, narodu, kraju i gminy? Kto reprezentuje u nas opinię publiczną, czy zdrowa część jego mieszkańców, czyli też warcholstwo zaciekłe, kąsające wszystko i wszystkich? A w chwili obecnej, kiedy pozycya nasza narodowa w tym kraju i w tem państwie na każdym kroku jest zagrożona w najwyższym

stopniu, czy my odczuwamy te krzywdy w całej pełni i czy potrafimy te zamachy na stan nasz posiadania solidarnie odeprzeć? Czy przeciwnie rozdarci i zwaśnieni bratobójczą walką nie czynimy radosnego widowiska naszym wrogom i przeciwnikom? Te i tym podobne pytania cisną się każdemu miłośnikowi ojczyzny do ust. Niech każdy, kto kraj ten kocha i to polskie społeczeństwo, w duszy na te pytania stara się odpowiedzieć, a przedewszystkiem mówiąc słowy Dantego niech się drapie każdy, kogo chrosta gryzie, by wydrapawszy, co w nim złego, w swem sercu odbudował ojczyznę!

Koniec.

¡Bóg czuwa!

W szalonym pościgu za szczęścia zdobyciem
Biegniemy na oślep wciąż żądni rozkoszy,
Niepomni, że Boga jesteśmy odbiciem,
Że w walce tej duszy skarb wnet się rozproszy,
Niepomni, że druga ją przyszłość tam czeka.
Ach, nieraz w pył wdepczem swą godność człowieka
I żyjem, lecz w sercu nie płonie blask znicza,
Do ludzi podobni już tylko z oblicza.
O, baczność, Bóg czuwa, Bóg żąda poprawy,
Bóg stoi u steru nad światów krawędzią,
Bóg patrzy, Bóg słucha i czeka u nawy
Godziny, gdy będzie nie Ojcem, lecz Sędzią.
Na Jego się rozkaz obudzą żywioły
I góry obalą, rozpadną padoły,
I z brzegów wystąpi spieniona głąb morza,
I ogień powstanie i zgaśnie nieb zorza.
O, baczność, Bóg czuwa, Bóg patrzy z wysoka,
Bóg żąda, by zrzec się żądz nizkich i szału,
O, baczność, przed nami jest przepaść głęboka,
O, stójmy, tak łatwo w nią zapaść pomału.
My ludzie, my wyżsi nad wszelkie stworzenie,
Nas czeka tam kiedyś wieczyste zbawienie,
A życie jest chwilą, czyż chwila ta warta,
By wyrzec się Boga i oddać w moc czarta?

PAULA WĘŻYK.

VIVE DEIBLER.

„Vive Deibler! — Niech żyje Deibler! Od wczesnego rana, tłum trzydziestotysięczny oblegał plac, na którym stała wzniesiona gilotyna. Niejako z lubością oczekiwano godziny, w której mieli być straceni czterej najwięksi zbrodniarze, kilkoletni postrach całej okolicy.

W chwili, gdy kat ukazał się na wywyższeniu, wydarł się okrzyk z trzydziestutysięcy piersi, jakiego nietylko Francya, lecz świat cały nie słyszał: „Niech żyje kat!“ „Niech żyje Deibler!“

Szczegóły tej poczwórnej egzekucyi dwóch braci Pollet, Teofila Deroo i Canuta Vromant, są wstrząsające a czytając gazety francuskie, opisujące to zdarzenie, mogłoby się zdawać, że żyjemy za czasów rewolucyi.

Część tłumu w oczekiwaniu tego widowiska piła całą noc. Wielu nie było trzeźwych. Inni — i to większa część — przybyli patrzeć na śmierć tych ludzi, którzy tyle nieszczęść i rozpaczy sprowadzili na ich rodziny. Jeden człowiek np. wcisnął się tak blizko, jak tylko rzędy ustawionej straży na to pozwalały. Twarz jego trupio blada, oczy błyszczą dziko i głosem przez wzruszenie przytłumionym wołał bezustannie: „Dzięki ci Boże, nareszcie, nareszcie!“ Człowiek ten to pan Lecoq, burmistrz ze Salome-Nord, który przed dwoma laty był niemym świadkiem, jak czterech złoczyńców z Ablem Pollet na czele, związało jego rodziców i siostrę, przypiekając ich hakami i drzwiczkami od pieców. Nieszczęśliwi konali w najokropniejszych męczarniach.

Gdy się na szafocie ukazał kat, rozbrzmiał okrzyk „Vive Deibler!“ Wszczęło się ogólne zamieszanie. Tłum począł szaleć i nie wiedzieć, do czegoby było doszło, gdyby rząd przewidując to, nie był odkomenderował na plac kaźni znacznej ilości wojska. „My chcemy ich widzieć!“ „Chcemy widzieć, gdy głowy ich spadywać będą!!“ W tej chwili rozbrzmiały dzwony w Bethune właściwym sobie wesołym dźwiękiem, a tłum zaryczał z radości: „Słyszycie? Dzwony się śmieją!“

Godzina szósta. Jeszcze ciemno, a kilka lampek, które błyszczą w rozmaitych miejscach, potęgują jeszcze ciemności. Deibler na szafocie naciska guzik, olbrzymi topór spada, z ponurym odgłosem. Próba udała się znakomicie, tłum raduje się. Raduje się również w tej sekundzie, w której prokurator republiki w towarzystwie dyrektora więzienia, wchodzi do celi Abla Pollet'a. „Nareszcie“ odzywa się tenże, gdyż jest przekonany, że dygnitarze ci przynoszą mu ułaskawienie. Lecz spojrzawszy w ich twarze, wie już co go czeka.

„Able Pollet, prezydent republiki nie ułaskawił ciebie. Godzina zadosyćuczynienia wybiła. Bądź mężnym!“

„Więc to już dzisiaj?!“ spytał Pollet. Nikt mu nie odpowiedział. Kazano mu się ubrać. To samo rozgrywa się w innych celach. A tłum czeka niecierpliwie. Wkrótce otwierają się podwoje więzienia. Pierwszy wychodzi Deroo, prawie, że go niosą. Leży na gilotynie. Topór spada. Grobowa cisza. Deibler

bierze gąbkę i obciera krew z ostrza. „Numer pierwszy“ ryczy tłum. Chwilowa cisza pierzchła i już nie wróci. Canut-Vromant następuje. „Numer drugi“ liczy tłum z zadowoleniem. Następnie kolej na Augusta Pollet'a. Jest najodważniejszy. „A więc teraz na mnie czas“ mówi, idąc na szafot; zgrzytając spoglądał, na tłum, który nań rzucał obelgi, jak na tamtych. Głowa spada, Deibler obciera ostrze, tłum liczy: „Trzy!“

Wreszcie wyprowadzają Abla Pollet'a, jako herszta bandy. Prawo chce, aby największy zbrodniarz na końcu był karany, największe to obostrzenie kary. Krwiożercze „ah!“ wyszło z ust wszystkich. Pollet idzie śmiało, głowę trzyma wysoko, spogląda bezczelnie w około. Teraz stoi na rusztowaniu. „Niech żyje rewolucya! precz z księżmi!“ Głos jego to nie głos ludzki, podobny więcej do ryku rozjuszonego zwierza, gdy słowa te w tłum rzucił. Deiblera asystenci pochwycili go. Bronił się. Zdawało się w jednej chwili, że zmódz go nie potrafią. Nareszcie skrępowali go. „Teraz“ woła Deibler. „Precz z księżmi“ ryczy Pollet. Topór spada. Deibler odwraca się do tłumu:

„Sprawiedliwości stało się zadość!“ A tłum pijany z radości krzyczy: „Vive Deibler! Niech żyje kat!!“...

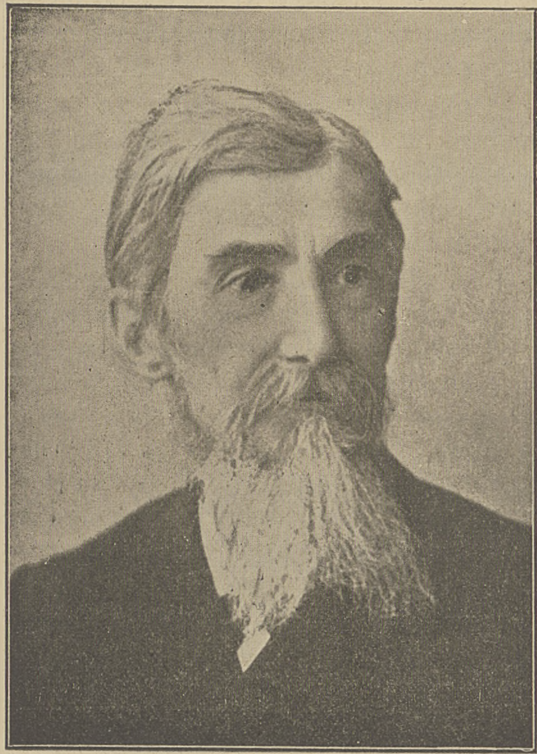
Z żałobnej karty.

Ś. p. Władysław Nehring.

Nauce polskiej ubył znowu jeden z najgorliwszych jej pracowników. Dnia 20-go b. m. rano zmarł w Wrocławiu *dr. Władysław Nehring*, długoletni profesor slawistyki uniwersytetu wrocławskiego.

Władysław Nehring urodził się 23 października 1830 r. w Kłecku pod Gnieznem. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych, poświęcił się studyom w zakresie filologii słowiańskiej i w roku 1856 uzyskał w Wrocławiu doktorat na podstawie rozprawy „De rerum Polonicarum sec. XVI. scriptoribus“. W dwanaście lat później, w r. 1868, powołano go do Wrocławia na stanowisko stałego profesora filologii słowiańskiej przy tamtejszym uniwersytecie, gdzie też przebywał nieomal do ostatnich chwil życia, jednając sobie mir i niezwykły szacunek w gronie kolegów uczonych, a przywiązanie i miłość swoich słuchaczów.

Władysław Nehring jest jednym z nielicznych twórców ściśle naukowego badania dziejów literatury naszej. Wszechstronne rozpatrzenie się w źródłach — jak powiada o nim Chmielowski — ścisła ich krytyka, staranie o ustalenie przedmiotowego sądu zamiast dawania opinii subjektywnych:



Śp. profesor Dr. Władysław Nehring.

oto główne znamiona pierwszych jego prac o historykach polskich ogłoszonych w latach 1857 do 1862.

Sądy Nehringa, wyrażane zwięźle, są zazwyczaj wytrawne i oparte na myśli jasnej i głębokiej rozwadze wszelkich, choćby najdrobniejszych szczegółów.

W zakresie pracy nad dziejami literatury, Nehring zajął niepoślednie stanowisko, a znakomite rozprawy jego, jak: „Psyche Andrzeja Morsztyna“, „Studya literackie“, „Jan Kochanowski“, „Nieboska komedya“ i „Irydyon“ — służyć mogą za wzór dla poszukiwań i rozpatrywań tego rodzaju pod względem ścisłości i przedmiotowości.

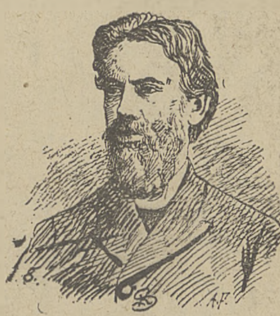
Niepospolite również zasługi położył Nehring badaniami swemi nad staropolszczyzną w dawniejszych jej zabytkach. Z mozolnych w tym kierunku dociekań powstały niezmiernie cenne rozprawy i przyczynki, opublikowane w języku polskim lub też niemieckim. Tutaj wymienić należy przedewszystkiem „Psałterz Floryański,“ „Kazania gnieźnieńskie i „Altpolnische Sprachdenkmäler,“ stanowiących źródło pierwszorzędne dla slawistów młodszych.

Jako wydawca i komentator starych pomników języka polskiego, jako badacz genezy i treści istotnej, poszukujący w każdym utworze literackim głównych idei przewodnich, Władysław Nehring poważne i trwałe położył zasługi.

Pamięci jego cześć!

Ś. p. Adam Bełcikowski

umarł w zeszłym tygodniu w Krakowie. Nieboszczyk urodził się w r. 1839 w Krakowie, gdzie też odbywał studya uniwersyteckie na Wszechnicy Jagiellońskiej. Otrzymawszy stopień doktora filozofii, habilitował się w warszawskiej Szkole Głównej na docenta literatury polskiej i w r. 1866/7 wykładał dzieje piśmiennictwa naszego w wieku XVII. Następnie powrócił do Krakowa i w uniwersytecie tamtejszym został docentem tegoż przedmiotu, nie mógł wszakże współzawodniczyć ze Stanisławem Tarnowskim, który równocześnie z nim wystąpił jako docent, lecz rychło został profesorem. Wówczas Adam Bełcikowski uzyskał posadę pomocnika bibliotekarza i poświęcił się wyłącznie piśmiennictwu, ogłaszając utwory dramatyczne, powieści i studya krytyczne. We wszystkich utworach dramatycznych — pisał Chmielowski — dodatnią stroną jest jasne i konsekwentne przeprowadzenie motywu dramatycznego, dobre postanowienie charakterów, stopniowany umiejętnie rozwój akcyi; ujemną zaś — albo brak werwy komicznej, albo brak dostateczny siły w odtworzeniu położeń tragicznych. Z utworów dramatycznych Bełcikowskiego należy wymienić następujące:



Ś. p. Adam Bełcikowski.

„Władysław Warneńczyk,“ „Mieczysław II.“ i „Bolesław Śmiały.“ Z utworów powieściowych najlepszym jest „Patryarcha.“ Napisał również Bełcikowski szereg cennych studyów krytycznych, jak n. p. „Wacław Potocki,“ „Elżbieta Drużbacka“ i „Pierwszy pisarz sceniczny u nas“ (Franciszek Bohomolec). W 25-tą rocznicę działalności pisarskiej Bełcikowskiego, w roku 1886, wydany został zbiór jego studyów literackich pt. „Z dziejów literatury polskiej.“

Cześć jego pamięci!

Nie patrz czy skończysz, ciągle rób,
Ciebie, nie dzieło — czeka grób;
Dłużej tu dzieła niźli nas,
Czas wszystko skończy, bo ma czas.
Kazimierz Brodziński.

Trzęsienie ziemi.

(Dokończenie).

Wiemy z doświadczenia, że górna warstwa ziemi bierze swe ciepło od słońca. Latem rozgrzewa je słońce do znacznej głębokości, zimą mniej. Zimą nadto mróz wchłania ciepło i ziemię oziębia.

Lecz ten wpływ mrozu lub słońca sięga tylko do pewnej głębokości, tu mniej głęboko, tam więcej. W głębokich sklepach temperatura prawie jest równą: zimą i latem równo prawie. Bo tu już nie wielkim jest wpływ tak słońca jak mrozu. Jeszcze głębiej, ciepło słońca, ani zimno mrozu nie wnika.

gorąco, i w przecięciu co 30 metrów termometr podnosi się o jeden stopień Celzyusza, zatem przy 300 metrach o 10 stopni Celzyusza. Wprawdzie to zwiększanie się ciepła nie wszędzie jest równe; zależy to wielce od tego, jaka tam skała się znajduje, ile jest wilgoci i t. p.

Otóż wychodząc z zasady, że co 30 metrów w głąb zwiększa się ciepło o jeden stopień Celzyusza, przedstawmy sobie, jakie gorąco panować musi wewnątrz ziemi!

Odległość powierzchni od środka ziemi wynosi okrągło 6377 kilometrów.

Przy głębokości 1 kilometra już termometr podskoczy o 33 stopnie Celzyusza. A więc już tam panować musi wieczne gorąco, jakie tylko w czasie największych upałów znamy na powierzchni ziemi. Łatwo potwierdza to ludzie, którzy pracowali w kopalniach.

W głębokości 3 kilometrów, czyli



Trzęsienie ziemi w południowych Włoszech

A jednak im głębiej w ziemi — tem cieplej. Tego dowodzą nam wiercenia w głębi ziemi. Im głębsza kopalnia, tem większe tam gorąco. Mamy już dziś bardzo wiele znacznie głębokich wejść w głąb ziemi, które nas przekonują o tem, że im głębiej w ziemi, tem cieplej.

Choć kilka przykładów, jak głęboko doszli ludzie w głąb ziemi.

Tunel przez górę św. Gotarda przechodzi 1700 metrów poniżej jej szczytu. Wjazd do kopalni w Przybramie w Czechach jest 1070 metrów głęboki, w Schladebach pod Merzeburgiem wiercono 1748 metrów głęboko. A takich wierceń głębokich dziś jest prawie bez liku.

Wszystkie zaś potwierdzają to zdanie, że im głębiej w ziemi, tem większe

3000 metrów ciepłomierz wskazywałby około 100 stopni Celzyusza, a więc takie gorąco, jak gotująca się silnie woda.

W odległości 1 mili byłoby 7, 5×30 to jest 225 stopni Celzyusza.

W głębokości 60 kilometrów byłoby już około 2000 stopni Celzyusza. Tam już żaden z znanych nam kamieni nie byłby w stanie twardym, lecz roztopiony w stanie płynnym.

A cóż dopiero we większej głębokości? Mianowicie, że głębokość aż do środka samego wynosi 6377 kilometrów. Tam byłaby ciepłota, którąby wynosiła przeszło 200,000 stopni Celzyusza.

To nawet wyobrazić sobie trudno! A jednak rozum ludzki dochodzi do tego na podstawie obliczenia.

I choćby nawet w obliczeniu tem zachodziła znaczna pomyłka, to jednak jest pewnem, że wnętrze ziemi jest gorące; że ciepłota ziemi jest bez wszelkiego porównania większą, od ognia, jaki nam jest znany na powierzchni ziemi.

I ta ciepłota wewnątrz ziemi jest powodem trzęsień ziemi.

Dwa tu trzeba rozróżniać przypadki: zwężanie się ziemi i rozsadzanie.

Wiadomą jest rzeczą, że wszelkie gorąco rozchodzi się, maleje z biegiem czasu, chociaż nie równo szybko. Ogrzany pokój łatwo się wystudza, jeżeli okna i drzwi są otwarte, — wolniej zaś, jeżeli jest szczelnie zamknięty. Piec gorący, szczelnie zamknięty, dłużej zatrzymuje w sobie ciepło, aniżeli, gdyby ta sama ilość węgla była spalona na otwartym przyrządzie w środku pokoju.

Bądź co bądź jednak wszędzie ciepło — nie podsycane na nowo — ulatnia się, już to szybciej już to wolniej.

Jeżeli tedy wnętrze ziemi jest do najwyższego stopnia gorące, to jednak ostudza się ono z biegiem czasu.

I w tem ostudzaniu się ziemi leży przyczyna trzęsień ziemi.

Przez ostudzanie bowiem każde ciało staje się mniejszem i ścieśnia się.

Tę prawdę zna przecież każdy. Brama żelazna, szczelnie się zamykająca, gdy od słońca jest rozgrzana, zacina się, gdy zaś oziębiona, nie jest nic za wielką. — Jeżeli kocieł — gdy zimny — był do kręgów z ogniska tak dobrany, że co tylko wchodził, naonczas rozgrzany na ogniu okaże się za wielkim i krąg ze sobą zabierać będzie, ile razy się go z ognia zdejmuje.

Tak wskutek ostudzania zmniejsza się i ziemia. Zmniejsza się niby jabłko długo leżące. Jabłko wysusza się. Woda zawarta w niem paruje, uchodzi, a jabłko dostaje zmarszczki.

Takie zmarszczki na ziemi — to góry i doliny. Potężne one; niektóre przeszło 8000 metrów wysokie. A jednak takie olbrzymie góry na ziemi są stosunkowo mniejszą zmarszczką niż najdrobniejsze zmarszczenie się jabłka.

Otóż owe wielkie trzęsienia ziemi są właśnie tem marszczeniem się ziemi. Nazywamy je zwykle trzęsieniami tektonicznemi. A do nich według zdania uczonych zaliczać trzeba także ostatnie trzęsienie ziemi w południowych Włoszech.

Wreszcie rozpalone wnętrze ziemi jeszcze w inny sposób wywołać może zaburzenia skorupy ziemskiej czyli trzęsienia ziemi, mianowicie wskutek rozsadzania ziemi.

Najpierw: w głębiny ziemi wsiąka woda. I gdy woda dochodzi do ogrom-

nego gorąca, wówczas zamienia się w parę, o ile miejsce na to pozwala. Lecz ta w głębi ziemi woda jest w zamknięciu, i jako para rozszerzyć się nie może. Za to ciśnienie jej jest coraz większe. I z pewnością siła wody rozwaliłaby ziemię, lecz ciężar ziemi staje na przeszkodzie. Natomiast na miejscach, gdzie siła skorupy ziemi jest najmniejszą, tam siła ekspanzywna wody porusza i trzęsie nią.

Na ten pomysł przyszli ludzie, gdy zauważono, że zwykle trzęsienia ziemi zdarzają się w tych okolicach, w których są dotąd czynne wulkany. A wulkany odzywają się właśnie wtedy gwałtowniej, gdy nastaje trzęsienie ziemi.

Co więcej. Jeżeli wnętrze ziemi jest rozpalone, ogniste, niepodobną jest rzeczą, ażeby nie były tam i gazy, które przecież mają skłonność do rozszerzania się. A siła ta prze wewnątrz na ściany skorupy ziemskiej i pokój jej zakłóca.

To niech wystarczy dla zrozumienia powodów trzęsienia ziemi.

Chyba dodam jeszcze kilka szczegółów ściśle z trzęsieniem ziemi złączonych, które potwierdzają, że trzęsienie ziemi z podanych wynikają powodów. W ten sposób nabierzemy głębszego przekonania o tej prawdzie.

Częstokroć w czasie trzęsienia ziemi powstają szczeliny w ziemi, proste lub zygzakowate. W Kalabryi podczas trzęsienia ziemi w roku 1783 powstała szczelina 7 kilometrów długa, 30 metrów szeroka i około 60 metrów głęboka.

W Indyach 16 czerwca 1819 roku obszar 94 mile kwadratowe wielki zapadł się w głębią, a niedaleko ztąd natomiast wypuklił się wysoki wał.

Przez lizbońskie trzęsienie ziemi wybrzeże morskie zapadło się, porywając ze sobą wiele ludzi a nawet i okręty. Po katastrofie było tu 170 metrów głęboko wody.

I góry skalne nie wytrzymują trzęsienia ziemi. Najwięcej znane jest w tym względzie zesunięcie się góry niedaleko Villach w Karyntyi 25 stycznia 1348 r., która gruzami zasypała dwa miasteczka i siedemnaście wiosek.

Wreszcie straszny dla mieszkańców wybrzeży jest skutek trzęsień ziemi, że wzburzają morza i wywołują fale tak potężne, że zalewa się cała okolica nadbrzeżna.

Łatwo to zrozumieć, a nawet w małem wypróbować.

Weź miskę blaszaną, napełnij ją do połowy wodą, a postawiwszy na stole uderz z dołu w jeden bok miski gwałtownie. Miska poruszy się nieco, lecz woda w niej poruszy się daleko gwałtowniej falując to w jedną to w drugą stronę.

Wskutek trzęsienia ziemi w pobliżu morza, wzburza się gwałtownie woda, podnosi się, nowa zewsząd dopływa i tworzy się naraz potężny wał wody, i ztąd płynie do brzegu.

Przekonano się o tem podczas lizbońskiego trzęsienia ziemi. Tu woda utworzyła wał na 60 stóp wysoki, który zalał całe wybrzeże Hiszpanii zrywając budynki, niszcząc nawet fortece.

Jak maluczkim jest człowiek wobec potężnych sił przyrody! *Wr.*

Koniec.



Wybuch wulkanu.

Z teatru.

W. Perzyński: Lekkomyślna siostra.
Komedya w 4-ch aktach.

Gorąca, nieprzeparta żądza życia, wrażeń, miłości — oto tragedya Maryi. Wydana za mąż przeciw swej woli za najlepszego w świecie człowieka, porzuca niekochanego męża i dziecko, by w szerokim świecie szukać szczęścia, upojenia, rozkoszy, do której tęskniła od lat dziewczęcych całą siłą swej płomiennej duszy, całą potęgą swej przedrażnionej wyobraźni, wykarmionej na chciwie pochłanianej erotycznej literaturze powieściowej. Jestto zimne serce, lecz gorejąca głowa; natura niezdolna do uczuć tkliwych, rzewnych; jej żywiołem namiętność, żądza zmysłów — nie serca, szał nerwów — nie ciche pożądanie duszy.

Cztery lata spędza Marya za domem mężowskim. Lecz szczęścia, którego szukała, nie znalazła. Złamana na ciele i duszy, zbrukana, z uczuciem wstrętu do samej siebie wraca do rodzinnego miasta, by nowe rozpocząć życie, zerwać z tą ohydną przeszłością, której wspomnienie ją dławi i ból nieopisany sprawia. Wszakżeż tam dziecko jej, które kocha, mąż, z którym wprawdzie żyć nie chce, bo nie może, lecz chciałaby ujrzeć go, przebłagać za krzywdę, którą mu wyrządziła, wszakżeż tam bracia, rodzina... Niepodobna, by nie wzruszył ich jej los, by nie pomogli podnieść się z głębokiego upadku, by nie mieli, jak ów biblijny ojciec marnotrawnego syna, przyjąć lekkomyślnej, nieszczęśliwej, złamanej siostry na łono rodziny i uradować się nawróconej jawno-

grzesznicy świętą radością prawdziwych chrześcian, za których się przecież mają. Niestety. Spotyka ją szyderstwo, obelga, brutalne rozdrapywanie ran krwią ociekających. Jedyny człowiek, który jej szczerze przebacza, mąż. nie umie opanować swego egoizmu, pragnie nowy gwałt zadać jej sumieniu, pragnie ją znowu posiadać. jako kochankę-żonę, a ona nie chce, nie może już kłamać uczuć, których nie posiada. Nie ma na to sił ni możności. Ona chce żyć zdala od męża, jako przyjaciel, jako siostra, jako matka wspólnego dziecięcia. Chce się podnieść z upadku i nie gnić w pętach niemoralnego według niej, bo nie uświęconego miłością, związku.

Oplwana jadowitą śliną bratowej, natury do szpiku kości zepsutej, złej, przewrotnej, kobiety zachowującej wprawdzie wszelkie pozory przyzwoitości, lecz tarzającej się w błocie kupnej, występnej miłości, zgnębiona obojętnością i brutalnością braci — wraca lekkomyślna siostra do Wiednia.

Tymczasem rodzina jej, zadowolona, że uniknęła skandalu — skandalem przecież byłoby, gdyby Marya, jak zamierzała, zamieszkała w Warszawie — często rozmawia o lekkomyślnej siostrze i dźwiga na jej głowę kamienie potępienia.

Wtem staje się coś, co od razu zmienia całą scenerye: umiera w Wiedniu kochanek Maryi i zostawia jej pół miliona.

Pieniądz poczyna wywierać swą magiczną moc na zelantów i formalistów mieszczańskiej moralności. Brat Henryk poczyna rozważać, jak to właśnie w tej chwili, gdy interesa jego się wikłają, przydać by się mógł wielki kapitał do niedawna wyklinanej siostry. Drugi brat Janek liczy na jej spieszną pomoc, celem uregulowania swych długów, które go gnębią niesłychanie, a nawet Olszewski, bratowej Heleny honorowy i drażliwy — jak mówi — w sprawach pieniężnych gaszek, na to konto maleńki wekselek sfałszował. Helenie także pilnie zależy na tem, by opłacanego swego amanta ratować, gdyż honorowy ten obywatel daje jej do zrozumienia, że w przeciwnym razie łatwo stosunek ich mógłby się wydać. Tak więc skoro wszyscy mają mniej lub więcej żywotny interes w tem, by strumień siostrzanego bogactwa częściowo do swych własnych skierować kieszeni, nie trudno odgadnać, co się stanie. Jakoż piszą czuły list do kochanej teraz Maniusi i powołując się na niewygasłe nigdy uczucia rodzinne ofiarowują jej gościnę.

Marya przybywa. Rodzina prześciga się w dowodach najgorętszego przywiązania. Jednakże świąteczny ten nastrój trwa tylko tak długo, dopóką się nie pokazało, że Marya zrzekła się urzędownie spadku i „takich“ pieniędzy nie przyjęła. Rzecz kończy się straszliwą migreną pani Heleny, brutalnemi wybuchami wściekłości chciwego jej męża, nieprzystojnem rzucaniem się Janka, okropnem rozczarowaniem Maryi i wyrzuceniem jej na bruk podobnie, jak się to działo w akcie drugim. Mamy wrażenie, że Marya odtąd straconą jest kobietą. Optymizm jej musiał zachwiać się do gruntu. Wróci ona zapewne do tego błota, w którym przez długie cztery lata się tarzała, gdyż nie znajdzie oparcia ani w samej sobie, ani po za sobą.

Sztuka ta — lubo wielce zajmująca i mimo rozwlekłości niektórych epizodów i zbyteczności takiej figury jak n. p. Ada pod względem ideowym i technicznym zręcznie przeprowadzona — nie daje widzowi wrażeń podniosłych. Tego, co Grecy nazywali: hedone t. j. rozkoszy artystycznej, radości z dzieła sztuki nie uczuwamy bodaj wcale. Taedium vitae — wstręt przed życiem ogarnia nas patrząc na tę smutną komedyę.

Przeciwstawienie rodzinie powierzchownie przyzwoitej... kokoty — tą bowiem jest Marya — i przeciwstawienie jej w sposób taki, że porównanie równa się potępieniu rodziny, może wywołać niesmak, który zupełnie byłby uzasadniony, gdyby należało autora posądzić o chęć obniżania powagi i świętości tej instytucyi, na której się całe życie religijne i społeczne ludzkości opiera.

Co do nas nie podejrzewamy autora o taką tendencyę, lubo nie możemy oprzeć się wrażeniu, że z pewnem zadowoleniem wyciąga na jaw zgniliznę, tającą się niekiedy pod pstrym płaszczykiem kłamliwej często i czczej formalistyki rodzinnego i towarzyskiego pożycia.

Jednakże nie wolno autorowi robić przepisów, co do wyboru tematu. Scena, to zwierciadło życia, może odzwierciadlać wszystko co życie niesie. Jedyny warunek, by obrazy, które daje, były artystycznie sporządzonemi wykrojami życia, projekcyami rzucanemi na ekran sceny z wyżyn sztuki, które tak się mają do rzeczywistości, jak obraz malowany ręką malarza do brutalnego produktu aparatu fotograficznego.

Naszem zdaniem autor pisząc swą najnowszą sztukę zbyt wiele pracował aparatem fotograficznym — to zaś nadało jego dziełu owe twarde, jaskrawe tony, rażące estetyczny zmysł wrażliwszego widza.

Na scenie naszej rzecz ta na sobotniem przedstawieniu wypadła bardzo dobrze, na wtorkowem wprost znakomicie.

Tytułową rolę objęła pani Sznagowa i oddała ją z właściwą sobie finezyą i głębokiem przejęciem. Pani Bogusińska, którą z prawdziwą satysfakcyą widzieliśmy na scenie, trudną rolę Heleny wypracowała w najdrobniejsze detale. Była to kreacya artystyczna na wielką skalę, gra w całem tego słowa zrozumieniu niepospolita. Słowo w słowo to samo należy powiedzieć o Henryku pana Junoszy. Rola płaczliwego filozofa Władysława u pana Czerniaka w dobrych była rękach. Również pan Kliszewski wybredne zadowalał wymagania. Grał on drażliwego w kwestyach pieniężnych Olszewskiego. Pan Boroński objął rolę Janka i grał swą niewielką rolę z werwą i temperamentem, hamowanym nieco na przedstawieniu wtorkowem, co w całości tylko na dobre wyszło. Również panna Zielińska, która na sobotniem przedstawieniu zbyt pozwalała się unosić wzburzonym fluktom swego niepowszedniego temperamentu, manezowała się nieco we wtorek, wskutek czego kreowana przez nią Ada dużo zyskała na wdzięku i powabie.

Inscenizacya była dobra, reżyserya — p. Antoni Kliszewski — zupełnie na wysokości zadania. Publiczność w sobotę przepełniła teatr. We wtorek frekwencya znacznie była mniejsza. Sztukę — a może więcej grę aktorów — przyjmowano z zapałem.

R.

Z bieżącej chwili

Szkoła pp. Danysz w Poznaniu.

Podjęte z różnych stron usiłowania, aby wyższej szkole pp. Danysz w Po-



† Anna Danysz.

znaniu umożliwić dalsze istnienie, spełzły na niczem. Rząd pruski odrzucił po śmierci ś. p. Anny Danysz wszelkie podania o pozwolenie na prowadzenie zakładu. Z dniem więc 1-go kwietnia r. b. szkoła ta, która w ciągu kilkodziesięcioletniego swego istnienia tak wielkie położyła zasługi około kształcenia młodzieży naszej żeńskiej, zostanie zamknięta.

* * *

Ślub ks. Hieronima Radziwiłła z arcyksiężniczką austryacką Renatą

odbył się w Żywcu w Galicyi w ubiegłą sobotę. Cesarza Franciszka Józefa zastępował arcyksiążę Leopold Salwator. Na ślub przybyli dalej: arcyksiężna Blanka, arcyksiążę Franciszek Salwator z małżonką arcyksiężną Maryą Walerą, córką cesarza, oraz z arcyksiężniczką Izabellą Elżbietą, wnuczką cesarza, arcyksiążę Fryderyk z małżonką oraz z córką, arcyksiężniczką Gabryelą. Gości na udekorowanym dworcu kolejowym przyjmował książę Karol Stefan z synem arcyksięciem Karolem Albrechtem. Z gości ze strony pana młodego byli obecni ks. Dominik Radziwiłł z żoną, Maciej Radziwiłł, księżna Maciejowa z hrabiów Krasińskich Radziwiłłowa, prezes Koła polskiego w Berlinie, ks. Ferdynand Radziwiłł i liczni inni goście.

Panna młoda ubraną była w białą atłasową suknię z długim trenem, pokrytą szaremi koronkami Radziwiłłowskiemi. — Na głowie miała dyadem brylantowy. — Tren nieśli bracia panny młodej: arcyks. Karol Albrecht, Wilhelm i Leon. Za panną młodą szedł pan młody w towarzystwie arcyks. Maryi Teresy i ks. Dominikowej Radziwiłłowej. Książę Hieronim był w stroju polskim: białym srebrnym żupanie, amarantowym kontuszu i białej delii z bobrami. Za tym orszakiem szły drużki: arcyks. Elżbieta, wnuczka cesarza, arcyks. Gabryela, córka arcyks. Fryderyka, arcyksiężne Eleonora i Mechtylda, siostry panny młodej, oraz ks. Izabella Radziwiłłówna, siostra pana młodego. Wszystkie drużki miały muślinowe błękitne suknie, przybrane różami.

Z powodu choroby nie mógł przybyć ks. kard. Puzyna, w którego zastępstwie dawał ślub ks. biskup Nowak z Krakowa.

W czasie uczty wniesiono trzy toasty: pierwszy wniósł zastępca cesarza, arcyks. Leopold Salwator na cześć nowożeńców, drugi ks. Ferdynand Radziwiłł na cześć cesarza i domu cesarskiego, trzeci arcyks. Karol Stefan na cześć rodziny Radziwiłłów.

Arcyksiążę Karol Stefan zaczął po

Przed uroczystością weselną.



Ostatnia fotografia arcyksiężniczki Renaty Maryi z narzeczonym Hieronimem ks. Radziwiłłem.

francusku, a zakończył po polsku następującemi słowy: „Piję zdrowie Radziwiłłów i równocześnie kończę szereg przemówień — wnosząc staropolskim obyczajem najserdeczniejszy toast: Kochajmy się!“

Po uczcie weselnej księstwo Hieronimowie wyjechali osobnym pociągiem w podróż poślubną na południe.

Z okazyi ślubu nadeszło bardzo wiele depesz gratulacyjnych, między innemi: od cesarza, następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, ks. kardynała Puzyny, hr. Stanisława Badeniego imieniem kraju, prezydenta Leo imieniem miasta Krakowa.

* * *

Pierwszym związkiem Radziwiłłów z domami panującemi było zamężcie Anny ks. Radziwiłłówny, wojewodzianki wileńskiej. W ostatnich latach XV. wieku, z księciem Konradem IV. mazowieckim z linii Piastowskiej. Była ona matką ostatnich dwóch w młodzieńczym wieku zmarłych polskich Piastowiczów, książąt mazowieckich: Stanisława i Janusza. Barbara, wojewodzianka wileńska, była żoną króla Zygmunta Augusta. Janusz ks. Radziwiłł, kasztelan wileński, z linii na Birżach i Dubinkach (1579—1620) miał drugą żonę Elżbietę Zofię z domu Hohenzollernów, córkę kurfirsta Jana Jerzego i Elżbiety, księżniczki Anhalckiej. Jej synem był znany z „Potopu“ Sienkiewicza, Bugusław Radziwiłł, koniuszy wielki litewski, którego jedyna córka, ks. Ludwika Karolina (1667—1695), ostatnia z linii na Birżach i Dubinkach, miała pierwszego męża Ludwika z domu Hohenzolernów, magr. brandenburskiego, a drugiego Filipa ks. Neuburskiego. Jan ks. Radziwiłł (1516—1551) miał drugą żonę Hipolitę Maryę ks. Gonzaga, córkę ks. Ferdynanda I. Gonzagi. Wreszcie Antoni ks. Radziwiłł, ordynat nieświeski i ołycki (1775—1833), namiestnik Księstwa Poznańskiego, protoplasta dzisiejszej linii na Nieświeżu i Ołyce, ożeniony był z Ludwiką księżniczką pruską, przez którą po raz trzeci Radziwiłłowie spokrewnieni byli z domem Hohenzollernów.

Dział kobiecy.

Kobiety bułgarskie.

Stanowisko kobiet w Bułgaryi zawsze było mniej zależne, niż u innych ludów wschodnich. Córka dziedziczyła po rodzicach na równi z bratem, żona zachowywała na własność wiano posagowe, a okoliczność ta przy zwyczaju dotąd praktykowanym u zachodnich górali, że najczęściej bywała starszą wiekiem od męża — nadawała jej odpowiednią powagę w domu — nie dziw też, że prawo przyznawało wdowie opiekę nad jej dziećmi. Pobożna bez fanatyzmu —względem obcych uprzejma bez uniżoności lub kokieteryi — rzadko łamie wiarę małżeńską — choć nie zagraża jej Dumasowskie „Tue la“ bo czorbadzi (gospodarz) bułgarski zadawala się bezkrwawą zemstą. Posadziwszy niewierną na ośle tyłem do głowy zwierzęcia i z jego ogonem w ręku, tak upokorzoną oprowadza po wsi na pośmiewisko sąsiadów. Kochanek asystuje tej karnej przeprawie, trzymając cugle.

Oszczędna, gospodarna, niezmordowanie pracowita, czy tka wełnę, wyrabiając grube sukno „aba“ na odzież włościan bałkańskich, lub „gajtan“ — ozdoby szmuklerskie, jako przystrój mające duże zastosowanie, czy przygotowuje sery owcze na wywóz zagranicę, czy z pieśnią śpieszy na wczesne żniwo do Rumelii, zanim własne zboża dojrzeją, wieśniaczka bułgarska poważnie przykłada się do wzmożenia dobrobytu krajowego.

W wyższych warstwach działalność społeczna kobiet rozwinęła się po raz pierwszy w ubiegłem stuleciu między 60 a 70 rokiem. Inteligentne Bułgarki

łącząc się w stowarzyszenia dla celów filantropijnych i kulturalnych, składki członków oraz licznie napływające ofiary przeznaczały na pomoc naukową dziewczętom, kształcącym się na nauczycielki, umieszczane następnie w okolicach najbardziej pozbawionych oświaty. Pracą w tym kierunku zasłużyło się szczególnie stowarzyszenie w Starem Zagrzebiu, będące jakby rozsadnikiem pedagogicznych sił niewieścich na cały kraj. Niektóre z tych stowarzyszeń, rozporządzające znaczniejszym kapitałem — pobudowały gmachy szkolne, dotąd istniejące w Sofii, Plewnie i innych miastach. Każde stowarzyszenie miało swoją czytelnię „klub“, w którym wygłaszano odczyty, prowadzono dyskusye, a prócz zamiłowania do nauk, budzono ducha narodowego, zdrętwiałego wiekowem jarzmem niewoli, I poczuła się Bułgarka wiernem dziecięcem umiłowanej matki ojczyzny, zabolała nad krzywdami jej wyrządzonemi, nad ciężką niedolą swego ludu — i stanęła obok mężczyzny do walki z przemożną potęgą wroga. Ruch konspiracyjny w r. 1875 miał siedlisko swej władzy w Rumunii. Z Bukaresztu pochodziły odezwy wzywające do walki za niepodległość i dążyli patryoci organizujący powstanie. Kobiety pełniły funkcye kuryerów rozwożących niebezpieczne pisma i przesyłki, wyszywały na sztandarach ryczącego lwa w zielonem polu i hasło: „wolność lub śmierć“, zaopatrywały powstańców w odzież i prowizyę, opatrywały rannych, ukrywały ściganych, a niekiedy i same brały udział w potyczkach, jak w Panaginriszczu i Batakie. Kraj złożył hołd swym bohaterkom, najbardziej zasłużone ozdabiając medalami. Literatura rewolucyjna (Ljuben Karawełow, Jan Wazow i inni) wsławiła ich odwagę i poświęcenie, a w szeregu pogardzonych nazwisk zdrajców i szpiegów, nikt kobiecego imienia nie wyczyta.

Po wojnie rosyjsko-tureckiej kongres berliński w r. 1878 skruszył okowy Bułgaryi, tworząc z niej lenne księstwo. Runęła przegroda dzieląca Bułgaryę od Zachodu, nowe życie wtargnęło potężną falą, rugując dawne wschodnie obyczaje, przesądy i tradycye. Świeże prądy zachwiały patryarchalnym ustrojem rodziny: kobieta na każdem polu zapragnęła dorównać mężczyźnie. W zamkniętych przez rząd turecki, a po wojnie wskrzeszonych żeńskich klubach, zaczęto radzić nad uspołecznieniem kobiet. Gazeta „Świat kobiecy“ redagowana w Warnie przez A. Aksakowa (Karima) poświęciła stałą rubrykę kwestyi równouprawnienia. Pierwotnie traktowano tę sprawę teoretycznie, bo ówczesne warunki ekonomiczne kraju nie zmuszały kobiet do walki o byt, a w społeczeństwie mniej ucywilizowanem przywileje męskie nie raziły zbyt jaskrawo. Dopiero niedopuszczenie kobiet do uniwersytetu, założonego w Sofii w r. 1900, nadało podkład realny ruchowi emancypacyjnemu. Podano petycyę do Zgromadzenia Narodowego, lecz ta prawie nie została zauważoną. Bojowniczki za prawo kobiet do wyższej nauki wystąpiły w sile niedostatecznej i źle zorganizowanej. Niezniechęcone porażką zakrzątnęły się koło założenia „Towarzystwa oświaty“, którego pierwszem dziełem było zespolenie wszystkich stowarzyszeń kobiecych (przeszło 30-stu) w jeden „Związek kobiet bułgarskich“. Koncentracya rozstrzelonych sił dała jak najlepsze wyniki. Powtórna petycya złożona Zgromadzeniu Narodowemu, a wymownie poparta przez ówczesnego ministra oświaty, dramaturga -Wieliczkowa, otworzyła kobietom wstęp na wszystkie fakultety. Związek rozwija się bardzo pomyślnie, w każdem mieście bułgarskiem, posiada swoje Koło, opłacając roczną składkę do głównej kasy — i reprezentowane przez delegatki na kongresie narodowym kobiet, odbywającym się zwykle w Sofii, w połowie lipca.

Czy najświeższy przewrót na półwyspie bałkańskim i ogłoszenie niepodległości królestwa Bułgarskiego wywoła wojnę — a Związek przeistoczony w sanitaryuszki i siostry miłosierdzia— rozproszy się po szpitalach i pobojowiskach — przyszłość pokaże.

Gabriella R. — „D. G.“



Za chmurami.

Nieraz świt rąbkiem szkarłatu
Obiecuje rzucić światu
Snop promieni hojną dłonią...
A wtem chmurki się wyłonią
I łącząc się w obłok szary
Osłaniają siłę wiary...
W porankowe obietnice,
Zasłaniają słonka lice
I dzień cały sieją mrokiem...
Załzawionym patrzysz wzrokiem,
Jako lecą, jako płyną,
Oswajasz się z barwą siną.
Dzień się kończy, zachód blizki,
Za chmurami giną błyski
I znaczą się krwawą smugą,
Jako pasmo cierpień długą.

Bol. Sz. Wol.

Z dziedziny hygieny.

Co to jest szkarlatyna.

Szkarlatyna jestto gorączkowa choroba, która powoduje silne zaczerwienienie skóry z następującem jej łuszczeniem się, a która jest skłonną wywołać w mniejszym lub większym stopniu choroby następowe. Choruje w niej nie tylko skóra, ale gardło i nerki, często nawet w niedostrzegalny sposób. Jest ona chorobą zaraźliwą, nie wszyscy jednak narażeni na możność zarażenia się, dostają jej, co ją odróżnia stanowczo od ospy i odry, których prawie bezwarunkowo dostają wszyscy, którzy ich w życiu nie mieli, a wystawili się w jakikolwiek sposób na możność ich nabycia. Ze spostrzeżeń naukowych wynika, że liczba osób skłonnych do dostania szkarlatyny wynosi zaledwie 38% ogółu ludności i stąd się też tłómaczy, że bardzo często w rodzinach mimo przebywania razem, nie wszystkie dzieci dostają szkarlatyny.

Pierwszymi objawami choroby są wymioty i silna gorączka, potem występuje ból gardła i malinowaty, zaczerwieniony język, czasem też bredzenie i nieprzytomność, a następnie wyrzuty skóry rozszerzają się z piersi i grzbietu na całe ciało. Wysepka ta różni się od wysepki odrowej tem, że przy szkarlatynie brak jest na skórze małych, białych, wolnych miejsc, ale prawie cała skóra jest równomiernie zaczerwieniona.

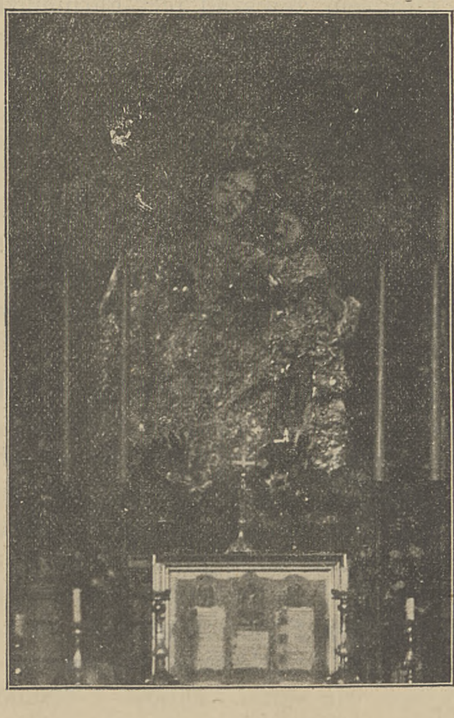
Leczenia nie należy robić nigdy na własną rękę i środkami domowemi, ale przy pierwszych już objawach zawezwać lekarza, bo szkarlatyna jest chorobą bardzo podstępną i wymaga często całej uwagi i sztuki lekarza a nierzadko sprowadza śmierć.

Cudowny obraz Matki Boskiej w kaplicy kościoła parafialnego w Szubinie.

Zamieszczony w numerach 2-gim i 3-cim „Pracy“ opis Szubina uzupełniamy następującym odpisem z księgi kościelnej szubińskiej z roku 1736-go, dotyczącym cudownego obrazu Matki Boskiej.

Konnotacya Łask Cudownych przez Protekcyą Najświętszej Boga Rodzicy Maryi przed Jej obrazem w kaplicy kościoła szubińskiego doznanych.

Ja X. Wojciech Szczepański kanonik kollegiaty Gnieźnieńskiey Dziekan Łekiński, Proboszcz Szubiński pod sumieniem zeznaję jako na Rusi zostając słyszałem J. O. Xiążęcia IMci Janusza Wiśniowieckiego kasztelana krakowskiego tak do mnie mówiącego: Masz WMC. w kościele Swoim Szubińskim dziwnie cudowny obraz N. M. Panny. Ja podczas woyny Szwedzkiej schroniłem się był tam i mieszkałem w



Cudowny obraz Matki Boskiej w kaplicy kościoła parafialnego w Szubinie.

Szubinie blisko rok. Ile razy wielkie jakie przypadały na mnie turbacye, chodziłem przed ten obraz dla pocieszenia y o com tylko prosił cudownej Matki Boskiey, zawszem to otrzymał. Ten sam Jaśnie Oświecony Pan za zawdzięczenie łask krótkie, ale poważne przypisał elogiura: *Uni Secundo Deo!*

I Oświecona zaś Xiężna JejM. Teofila z Leszczyńskich Wiśniowiecka Małżonka Jego sukienkę z wstążek bogatych teyże cudowney Matce Bożej rękami swymi uszyła.

Wielmożne Państwo JM. Pan Józef Skoroszewski kasztelanic Przemęcki y Im. Pani Teresa z Mycielskich, małżonka jego mieli syna imieniem Mikołaja, który im w roku trzecim skaleczał, bo mu się nogi pokurczyły tak że ani ich wyciągnąć ani na nich stanąć ani się wyprostować nie mógł. Zaciągnęło to Państwo na kuracyą doktora pana Jana Hoffmann, Pannę Raszewską slachciankę, Doktorkę żydówkę z Poznania y inne nic nie pomogły przez półtora roku. Nakoniec to Dziecię przywieźli do Szubina, Wielmożni Rodzicy ofiarowali je w Protekcyą N. M. Matki Boskiej, zakupili mszę św. i Dziecię trzymali przed obrazem. Dziecię w krótkim czasie uzdrowione zostało. Na zawdzięczenie tej łaski Wielmożna Matka sprawiła do kościoła Baldachim piękny y bogaty na Processye.

Jędrzej syn Walentego i Anny Fraczów w rowie za mostkiem ku wsi Wolwarkowi blisko Bożej Męki kąpiąc się utonął. Swiniarz y Swiniarka Lutrzy gdy to postrzegli wyciągnęli go z wody, położyli na pagórku iak nieżywego kulając na tę y ową stronę, potym wzięli go oboje za nogi y głowę, przynieśli go do miasta, oddali go Matce; Matka widząc go bez żadnych zmysłów gdy go się dotrzeźwić nie mogła poszła przed statuę S. Wawrzyńca (ta figura stoi na bramie przed kościołem), tak klęcząc obracała się ku kościołowi, wołała na Matkę Boską w kaplicy Cudownej aby się Zmiłowała nad Synem a przywróciła go do pierwszego zdrowia. Gdy się powróciła z modlitwy zastała Syna żywego aktualnie nożem drewno strużącego. Nazajutrz przyszedł do spowiedzi y Mszy ś. słuchał na podziękowanie Najświętszej Matce Boskiej.

* * *

Sukienka srebrna na obrazie Matki Boskiej jest bardzo stara, bo wzmianka o niej znajduje się w spisie inwentarza kościelnego z r. 1765-go.

Paść może i naród wielki, zniszczeć nie może tylko nikczemny.

Stanisław Staszyc.

* * *

Jak książki owej sławnej Sybilli, tak są dni życia ludzkiego: im mniej ich zostaje, tem są droższe.

Alojzy Żółkowski.

* * *

Ilekroć geniusz znajdzie nową drogę, tysiące talentów zaczyna na niej budować swoje nadzieje.

Do pp. prezesów wyborczych komitetów powiatowych w W. Ks. Poznańskiem.

Według przepisów naszego regulaminu wyborczego mają się odbywać wybory naszych władz wyborczych, tj. komitetów powiatowych i delegatów co 5 lat *po skończonych wyborach do sejmu pruskiego.* Skutkiem nowych przepisów prawnych, wydanych w zeszłym roku, a ograniczających używanie języka polskiego na zebraniach publicznych do powiatów, które mają 60 procent ludności polskiej, niektóre powiaty z mniejszym procentem Polaków *poza okresem wyborczym* wcale zebrań publicznych urządzać nie mogą. Dla tego wezwał niżej podpisany komitet już w kwietniu r. 1908 komitety powiatów, nie mających 60 procent ludności polskiej, żeby korzystając ze swobody zebrań w okresie wyborczym na obecnie rozpoczęte pięciolecie władze swoje wyborcze wybrały. Temu stało się zadość.

Po ukończonych wyborach sejmowych większa ilość pozostałych powiatów, do których ograniczenia językowe się odnoszą, wybrała w myśl regulaminu na obecne pięciolecie nowe komitety i delegatów. Pozostała niewielka ilość powiatów, która, czekając na zapowiedzianą reformę regulaminu wyborczego, dotąd wyborów nie dokonała.

Do prow. komitetu nadchodzą obecnie z tych powiatów zapytania, według jakiej modły mają się wybierać komitety powiatowe i delegaci, czy według dotychczasowego regulaminu na walnych zebraniach powiatowych, czy też w myśl nowo uchwalonego regulaminu na zebraniach obwodowych. Prowincyonalny komitet postanowił, ze względu na to, że nowy regulamin nie został dotąd publikowany i podział powiatów na obwody jeszcze nie we wszystkich szczegółach wypracowany, żeby w *obecnym okresie przejściowym* pozostawić powiatom swobodę. Mogą więc te powiaty, które dotąd nowych władz wyborczych nie wybrały, postąpić według swego uznania i wybierać albo według dotychczasowego regulaminu na wspólnem walnem zebraniu powiatowem, albo też na oddzielnych zebraniach obwodowych w myśl nowych przepisów. W każdym razie wszystkie dotąd zalegające powiaty *muszą wyborów dokonać przed końcem marca rb.*

Oprócz tego prosimy te powiaty, którym projektowany podział na obwody wydaje się na mocy znajomości miejscowych stosunków niewłaściwy, żeby z postulatami swymi zwracały się do niżej podpisanego sekretarza. Wzywamy więc wszystkie Komitety powiatowe, które zamierzają żądać zmian w projektowanym podziale powiatów na obwody, żeby aż *do 15-go lutego r. b.* żądania swoje sekretarzowi Prowincyonalnego Komitetu doręczyły.

Poznań, 18 stycznia 1909.

Prowincyonalny Komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie.

Stefan Cegielski, prezes. *Dr. Krysiewicz*, sekretarz.
Ks. Wawrzyniak, wiceprezes. *M. Więckowski*, skarbnik.
Julian Brzeski. Władysław Grabski.
Ks. Mojzykiewicz. Dr. T. Szułdrzyński.

Polskie Towarzystwo Wyborcze na Charlottenburg i okolicę.

Otoczeni zewsząd falą germanizmu z podwójną energią czuwać musimy nad zachowaniem naszych skarbów narodowych i starać się, by każdy z nas pilnie przestrzegał obowiązków nałożonych nam jako Polakom. Dla tego też założyliśmy Polskie Towarzystwo Wyborcze, by wskazywać naszym braciom i torować im drogę celem wykształcenia narodowego i politycznego.

Nie powinno więc brakować w Towarzystwie tem żadnego rodaka. Na przyszłem zebraniu, które się odbędzie w niedzielę, 24-go stycznia w Charlottenburgu na sali Domu Ludowego przy Rosinenstr. 3, po południu o godzinie 2-giej, przemawiać będzie p. poseł Kulerski. Spodziewamy się, że każdy z naszych członków punktualnie na takowe się stawi. Ktoby z rodaków chciał wziąść udział w tem zebraniu, niech się czemprędzej zapisze na członka u naszych mężów zaufania, bo tylko ci będą mogli być na zebranie wpuszczeni, którzy okażą się książką, że są członkami Polskiego Towarzystwa Wyborczego na Charlottenburg.

Zarząd.

Tylko kwiaty wspomnień nie więdną, tylko młodość umie rozpalać gwiazdy, które nie gasną.

Stanisław Rossowski.

Nowe książki, konkursy i treść pism.

„Śpiewaka“, organu Związku Kół Śpiewackich wyszedł zeszyt 7-my styczniowy, który zawiera:

Od Wydziału Związku Kół Śpiewackich. — Nowy Rok. — O koniecznej reformie zjazdów Śpiewackich. — Adam Minhejmer. — Sprawozdanie zjazdu dyrygentów. — Wiadomości z świata muzycznego. — Rozmaitości. — Dodatek muzyczny, obejmujący: Koncert przyrody“, trzygłosowy chór żeński i trzy kolędy na chór mięszany: „Pasterze drzemali w dolinie“, „Bracia, patrzcie jeno“ i „Cztery lata zawszem pasał.“

Przedpłata kwartalna na „Śpiewaka“ w mieście Poznaniu wynosi 1 mk.— Zamówienia od osób prywatnych przyjmuje każda księgarnia, a od kół związkowych wyłącznie ekspedycya: *Józef Ganke, Poznań, Kwiatowa 9. III.*

* * *

Bolesław Dembiński. Album Jubileuszowe utworów wokalnych. Zeszyt I. Śpiewy solowe z towarzyszeniem fortepianu. Nakładem autora za pośrednictwem księgarni M. Niemierkiewicza w Poznaniu. Poszczególne pieśni wychodzą oddzielnie. Nr. 1: „Dziewczyna“ (Krakowiak). Nr. 2: „Tęsknota Górala“ (Elegia). Nr. 3: „Dumanie Zosi“ (Idylla). Nr. 4: „Barkarola“ (Kołysanka.) Nr. 5: „Marzenie druhny“ (Sielanka). Nr. 6: „Krakowiak“ (Fraszka stylowa). Nr. 7: „Wlazł kotek na płotek“ (Humoreska).

* * *

Ruchu chrześciańsko-społecznego ukazał się zeszyt 8-my i zawiera: Paweł Spandowski. Polityka socyalna w Poznaniu wobec bezrobocia w roku 1838—39. — X. K. Z. Uregulowanie prawne umów taryfowych w Niemczech. (Dokończenie). — S. G. Tanie mieszkania dla robotników katolickich w Krakowie. — Materyał do wykładów i nauk: P. Pruski. O uprawnieniu własności prywatnej. — S. Kamieński. Co powinien wiedzieć każdy lokator? — Ruch ekonomiczno-społeczny: Połączenie polskich związków zawodowych. — Olbrzymia walka grozi w górnictwie. — Z ruchu socyalistycznego: Krakowskie Sercanki handlarkami żywego towaru. — Socyalna obrona prawna: Gdzie trzeba robotników od choroby zabezpieczać? — Wiadomości literackie.



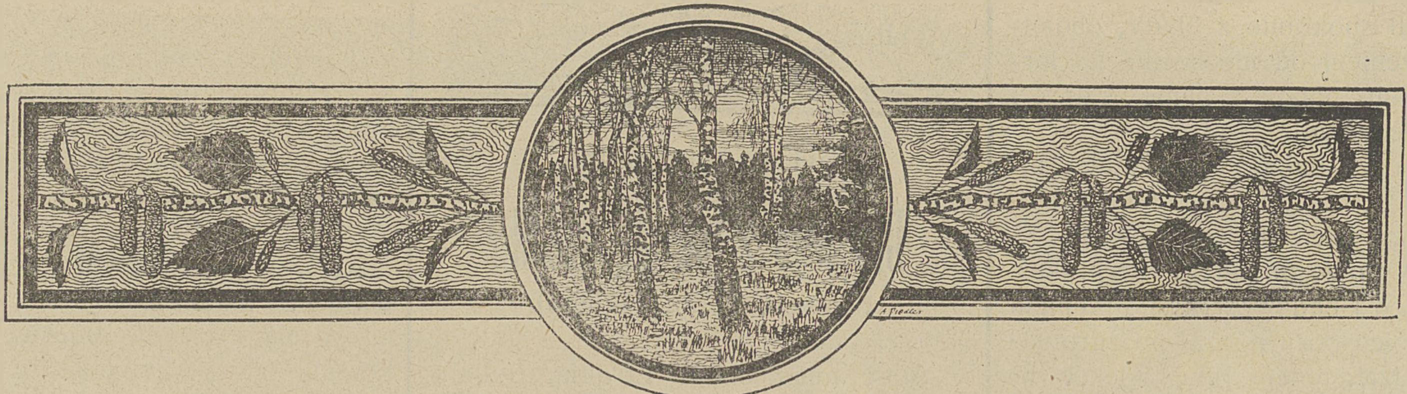
Do noweli Rawity
„Śmierć Wernyhory."

. . . . Król uśmiechnął się pobłażliwie i lornetował niby chatę i okolicę,
ale ciągle wzrok swój kierował na zgrabną postać dziewczyny.

Wacław Pawliszak

Album „Pracy."

Drukiem „Pracy."



Fr. Rawita.

Śmierć Wernyhory.

2)

Baśń ukraińska.

(Ciąg dalszy.)

Był to król, który w towarzystwie pani Grabowskiej i w asystencyi dam wyjechał na spacer. Nudził się oczekiwaniem w Kaniowie. Robił wizyty w okolicy, bawił się z paniami, bałamucił wiejskie dziewczęta. Powiedziano mu, że w pobliżu Kaniowa mieszka jakiś znachor, który przyszłość przepowiada — pojechał odwiedzić go.

Hanusia, widząc, że całe towarzystwo wprost do chaty się zbliża, zdziwiona i przestraszona nieco, wysunęła się z za dębu i, spoglądając ku nim, stanęła.

Król spostrzegł ją pierwszy. Przyłożył lornetkę do oczu i przyglądać się jej począł. Ciemna wełniana zapaska w czerwone prążki mało co za kolana sięgała, tak, że widać było mięsiste, czerwone łydki i bose nogi, jędrne, silne, muskularne. Podniosła rękę do czoła, ażeby zakryć oczy od bijących wprost promieni słonecznych i przyglądała się.

— A... otóż mamy i nimfę, która futoru strzeże — przecedził król.

Powiedziawszy to, znowu lornetkę do oczu przyłożył i z miną znawcy przypatrywał się do zapaski Hanusi.

— Może to Rusałka, Najjaśniejszy Panie...

— Może... Dniepr blizko... tu się podobno Rusałki rodzą...

Zbliżyli się do niej.

— No, mości Komorowski, weź-no ją pan na egzamin... Pan umiesz mówić językiem Rusałek...

Na te słowa z tłumu wystąpił imćpan Komorowski, w ubraniu adjutanta służbowego, i do Hanusi zdziwionej i milczącej zwrócił się:

— Czy did w domu?

— W domu.

— Zawołaj i powiedz, że Najjaśniejszy Pan chce go widzieć.

Wyrazy: „najjaśniejszy pan“ — nie miały dla niej żadnego znaczenia, bo ich nie rozumiała. Zrozumiała tyle tylko, że ktoś chce go widzieć.

— Nie można teraz — odpowiedziała. — Did „szmatja“ zmienia...

Imć pan Komorowski wytłómaczył co to znaczy — po francusku. Całe towarzystwo śmiać się wesoło poczęło, a król lornetował zapłonioną dziewczynę.

— Przynieś tu jakie krzesło dla najjaśniejszego pana... i dla nas na czem usiąść — odezwała się pani Grabowska.

Dziewczyna milczała.

— Na czemże wy siadacie?

— A ot jest przyźba — rzekła naturalnie i spokojnie.

Król uśmiechnął się pobłażliwie i lornetował niby chatę i okolicę, ale ciągle wzrok swój kierował na zgrabną postać dziewczyny, rozglądającą się po tem pstrokatem zgromadzeniu z ciekawością. Pragnąc zamaskować uporne lornetowanie dziewczyny, odezwał się do pań:

— Ładny pejzaż... bardzo ładny... Szkoda, że nasza Polska nie ma takich malarzy, jak Włochy...

— Brak nam, Najjaśniejszy Panie, włoskiego nieba, słońca, widoków — wtrąciła pani Grabowska.

Otoczenie przyjęło tę wiadomość w milczeniu.

Król niecierpliwił się. Pani Grabowska rzekła:

— Niech przyniosą Najjaśniejszemu Panu krzesełko składane... jest przecie w powozie...

Król skinął głową na znak wdzięczności ku pani Grabowskiej i odjąwszy lornetkę od oczu, bawił się nią, kręcąc koło ręki i nawijając sznureczek na palce.

— Dobrze... dobrze... dziękuję...

Przyniesiono krzesełka i kilka pań z królewskiego orszaku usiadło, półkolem Najjaśniejszego Pana otoczywszy. Bawiono się francuską rozmową, dowcipkowano, żartowano, a król ciągle lornetował Hanusię.

— Jakże się nazywasz, moja nimfo? — zapytał.

Dziewczyna zrozumiała o co chodziło, nie zwracając na dodatki mitologiczne.

— Hanusia...

Król uśmiechnął się słodko.

— Hanusia... piękne masz imię — rzekł, patrząc na nią zalotnie i jakby dla uspokojenia pani Grabowskiej, dodał:

— To mi Przemyśl przypomina i czasy, kiedy byłem starostą Przemyskim. Tam co druga dziewczyna Hanusia.

Dziewczyna nabierała zwykłej swojej, codziennej odwagi.

— A wyż co za jeden? Pan czy co? — spytała.

Król odpowiedział z uśmiechem pobłażania:

— Pan...

— Z tych może, co się w Kaniowie bawią?

— Z tych...

Odpowiedziawszy, odwrócił się do zgromadzonych pań i panów i dodał:

— Lubię taką prostotę...

Pani Grabowska skorzystała z chwili odwrócenia się króla i, nachyliwszy się nieco ku Hanusi, rzekła półszeptem:

— To król... Pocałuj w rękę Najjaśniejszego Pana...

Dziewczyna byłaby może usłuchała rady, ale w tej chwili posłyszała skrzypnięcie drzwi. Na progu ukazała się postać dida. Był ubrany w białą, czystą bieliznę, a na plecy miał narzuconą krótką czarną świtę. W lewej ręce trzymał, przyciskając nieco do boku, bandurę, ze struną zerwaną, która mu aż do buta sięgała.

— A ot did... — rzekła.

Wyszedł spokojnie z chaty, obojętnem spojrzeniem od niechcenia na lornetujących go panów i panie rzucił i na przyźbie usiadł.

— Co to za ludzie? — spytał Hanusi.

— Kto ich wie... mówią, że król...

Starzec głowę podniósł, wyprostował się nieco i badawczem spojrzeniem siwych swoich oczu począł po zgromadzeniu wodzić, potem ręką lekceważąco skinął:

— Bawcie się... bawcie się...

Powiedziawszy to, znowu głowę pochylił, spojrzenie utkwił w ziemię, a strzępiaste, gęste i wielkie brwi wisiały mu groźnie. Spokojna postawa starca i jego zachowanie się zmieszały całe towarzystwo. Król, chcąc ukryć pomieszanie, odezwał się:

— Jaki to śliczny obrazek rodzajowy: tu dziad znachor siedzi pod chatą z teorbanem, tam szumią dęby, pozłacane zachodzącem słońcem, tu wielkie zwierciadło wody, w ramy zielone oprawne... prawda?

Mówiąc to, lornetką kiwał w każdą stronę i uśmiechał się przymuszonym uśmiechem, ażeby pokryć doznane przykre wrażenia.

Dziad siedział milczący z pochyloną do ziemi głową.

— Hanusiu! — zawołał, głowy nie podnosząc — jesteś tu?

— Jestem, didusiu.

— Pójdź, moje dziecko, popatrz na Szpakową polanę, czy tam nikogo nie widać.

— Dobrze, didusiu.

Dziewczyna pomiędzy strojnemi panami i paniami przesunęła się śmiało, pod dębem stanęła, i rękę do oczu przyłożywszy, patrzała długą chwilę na wielką polanę, zamkniętą krajem dębowego lasu. Na polanie cisza była. Jasne, migotliwe, zachodzące słońce oświecało ją, a sinawe cienie pod lasem stopniowo, powoli przechodziły w czarność lasu.

Wróciła i powiedziała:

— Nie, didusiu, nikogo nie widać.

Stary nie podniósł nawet głowy od ziemi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

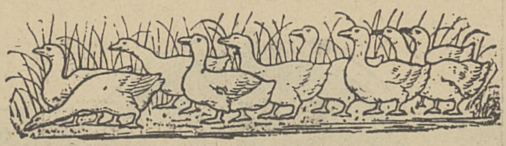
Człowiek uczony bez obyczajów jest zniewagą nauki i najniebezpieczniejszą zarazą towarzystwa; jestto chodząca sprzeczka myśli z uczynkami.

Jan Śniadecki.

* * *

Wszystko swoim struła jadem,
Niespokojna chęć człowieka;
Szczęście idzie jego śladem,
A on przed niem wciąż ucieka.

J. U. Niemcewicz.



Gui de Maupassant.

Dlaczego z nią się ożenił?

(Nowela z francuskiego).

Małe miasteczko Etracta, zalane było palącemi promieniami słońca. Wielka skała, spuszczająca się ku morskiemu wybrzeżu u prawego końca miasteczka, nadawała mu dziki, nieopisany wdzięk. Z lewej strony wybrzeże było zupełnie płaskie, tworząc przepyszną naturalną promenadę.

Przypatrywano się kąpiącym. Część kuracyuszów zajęła miejsce na tarasie kasyna, kobiety w jasnych toaletach tworzyły barwne plamy.

Na końcu tarasu, na uboczu od całego tego eleganckiego i wesołego towarzystwa, zebrała się grupa ludzi.

Młody, lecz już otoczony sławą malarz Jean Roumet kroczył w ponurym nastroju obok wózka, w którym leżała młoda kobieta. Lokaj powoli suwał wózek, a kobieta ze smutkiem przyglądała się wesołemu widokowi i wesołym ludziom.

— Zatrzymajmy się na chwilę — rzekła.

Wózek stanął. Malarz usiadł na składanem krzesełku, podanem mu przez lokaja.

Milcząca para zaciekawiała przechodniów.

Siedząc przy małym stoliku nieopodal od milczącej pary, prowadziliśmy rozmowę na ten temat.

— Cóż było przyczyną tego małżeństwa? Przecież ona była kaleką do ślubu...

— Zupełną.

— Nie rozumiem...

— Ach, Boże! Ożenił się **z nią, jak** się żeni większość... z **głupoty. Ten** nieszczęśliwy wypadek, co się **małżeń**stwem zowie, zdarzył się w wyjątkowo okropnych warunkach. Kochanka odegrała komedyę, albo raczej straszny dramat. Zaryzykowała wszystkiem dlatego, żeby zostać przy kochanku.

Zacząłem nalegać, by mi opowiedział historyę Roumet'a.

Gdyśmy usiedli pod cieniem wielkiego kasztanu, zaczął:

— Kobieta, o której mowa, jest — naturalnie — niczem innem, jak modelką. Pozowała mu do obrazów. Nie można o niej powiedzieć, by była piękną, ale posiadała bardzo dużo wdzięku i miała podobno cudowną płeć. Zakochał się w niej, jak zakochuje się zawsze mężczyzna w kobietach nie szpetnych, z któremi się często widuje. Poprostu wyobraził sobie, że pokochał ją całą duszą, przysiągł jej wieczną miłość i zamieszkał z nią na stałe razem.

Ona rzeczywiście była bardzo milutka i, jak prawdziwa Paryżanka, paplała bez ustanku.

W ciągu trzech miesięcy Jan był tak nią zachwycony, że nie spostrzegł, iż ostatecznie podobna była ona do wszystkich modelek.

Na lato młoda para wynajęła sobie domek w Andratti.

Spędzałem u nich właśnie jeden z tych pięknych wieczorów czerwcowych, gdy w głowie i sercu mego przyjaciela powstała pierwsza wątpliwość.

Zbliżała się jasna księżycowa noc, która nas usposobiła do spaceru nad brzegiem rzeki. Milczeliśmy, przejęci urokiem wspaniałej nocy.

W tem Józefa zawołała, wskazując na rzekę:

— Patrz, patrz — jaka wielka ryba wskoczyła do wody. Nie tu! Tam... Czy nie widzisz?

— Widzę, koteczku.

— Nie, nieprawda. Nie mogłeś widzieć, bo nie patrzałeś we właściwą stronę.

Uśmiechnął się.

— Masz racyę, kochanie. Nie widziałem. Noc jest tak piękna, że nie chce się nad niczem zastanawiać.

Józefa zamilkła, lecz po chwili, znudzona ogólnem milczeniem, znów zaczęła.

— Pojedziesz jutro do Paryża?

— Nie myślałem jeszcze o tem.

Odpowiedź ta rozzłościła ją.

— Jeżeli sobie wyobrażasz, że jesteś dzisiaj bardzo interesujący ze swem nudnem milczeniem, to się bardzo mylisz. Tylko głupi ludzie nie umieją rozmawiać.

Jan nic nie odpowiedział.

Wtedy Józefa, chcąc najwyraźniej go zirytować, zaczęła nucić głupią, zwyczajną piosenkę bulwarową, która w przeciągu dwóch ostatnich miesięcy zdołała się naprzykrzeć wszystkim mieszkańcom Paryża.

— Nie śpiewaj tego. Proszę cię.

— Nie wiem, dlaczego nie mam śpiewać piosenki, która mi się podoba.

— Bo ona nie harmonizuje z otoczeniem.

Tych słów kilka wystarczyło dla wywołania sceny głupiej, płaskiej, zakończonej — oczywiście — wyrzutami, łzami.

Wracaliśmy do domu pod wrażeniem pięknej nocy, popsutej głupiem



E. Gebhardt. **Kazanie w górach.**

Estończyk z pochodzenia, Edward v. Gebhard, zaznawszy rozkoszy powodzenia w Niemczech, zupełnie przejął się duchem sztuki niemieckiej; hołduje przytem wielkim jej tradycyom i stara się obrazy swoje utrzymać w charakterze średniowiecza z okresu reformacyi. Sztuka jego jest przeniesieniem scen biblijnych na grunt średniowieczny i późniejszy, to znaczy, że wszystkie sceny wielkiej legendy Chrystusowej dzieją się na obrazach Gebhardta wśród Niemców, ubranych w kostyumy z przed lat 400. Nadaje to całej twórczości Gebhardta piętno bardzo charakterystyczne, szczególnie zaś wymownie odbija się na traktowaniu postaci Zbawiciela, który u Gebhardta więcej przypomina Oberamergau niż Nazaret. Jest to próba realizmu, zastosowana do rzeczy duchowych i świętych. Obrazy Gebhardta mają wielkie powodzenie: maluje on freski w kościołach (n. p. Dysseldorfie) i jest bardzo wysoko ceniony przez świat krytyki za zupełne opanowanie środków swojej sztuki i za siłę wyrazu niektórych postaci, utrzymanych w rdzennie niemieckim charakterze.

Treści powyższego obrazu bliżej tłómaczyć nie potrzeba — tytuł o nim dość konkretnie powiadamia widza.

zachowaniem się tej zwyczajnej kobiety.

Upłynęły trzy miesiące. Jan bezskutecznie wyrywał się z niewidzialnych, lecz jak śmierć mocnych więzów przywiązania.

Niegdyś ukochana, teraz znienawidzona kobieta, trzymała go w niewoli, męcząc i maltretując. Zresztą i on nie zostawał jej dłużnym. Kłócili się więc od rana do nocy, obrażając wzajemnie swoje najświętsze myśli i uczucia.

Nakoniec Jan zdecydował się na zerwanie. Sprzedał wszystkie swe płótna, zapożyczył się u przyjaciół i, zebrawszy sumę 20,000 franków, zostawił jej pewnego pięknego poranku w portfelu, wraz z pożegnalnym listem.

Poczem przyszedł do mnie.

Około godziny trzeciej po południu rozległ się w przedpokoju dzwonek. Otworzyłem. Zostałem gwałtownie pchnięty i do pokoju weszła, a raczej wskoczyła — ona.

Jan, spostrzegłszy ją, wstał. Józefa ruchem obrażonej królowej rzuciła mu do stóp portfel z pieniędzmi, wołając przerywanym głosem:

— Oto twoje pieniądze, nie potrzebuję ich.

Była strasznie blada i drżała ze wzruszenia.

Spojrzała na niego.

On tonem spokojnym rzekł:

— Czego sobie życzysz?

— Żądam, by nie postępowano ze mną, jak... z pierwszą lepszą...

Jan zaczął się podniecać.

Chcąc uniknąć skandalu, podszedłem do kobiety i zacząłem cichym, łagodnym głosem wyliczać cały szereg argumentów, zwykle przytaczanych w podobnych sytuacyach. Słuchała, milcząc. Lecz gdym, jako ostateczny argument, podał za przyczynę zerwania pragnienie rodziny ożenienia Jana, skoczyła jak tygrysica.

— A!... a!... teraz rozumiem tego nikczemnika — i, zwracając się do Jana, wykrztusiła:

Ty się żenisz?

— Tak.

— Jeżeli się ożenisz, zabiję się... słyszysz?

— Rób, co ci się podoba — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Więc to tak... Więc tobie wszystko jedno? Powtórz, powtórz jeszcze raz, coś powiedział.

— Daj mi już raz spokój. A jeżeli ci to sprawi przyjemność, odbieraj sobie życie chociażby dziesięć razy.

— A ja ci radzę, nie draźnij mnie, Bo... bo wyskoczę oknem.

Wtedy on wstał, podszedł do okna, otworzył jej, poczem, usunąwszy się na bok, gestem wskazał drogę.

Damy mają pierwszeństwo.

Spojrzała na niego nieruchomym, strasznym wzrokiem. Potem rzuciła się naprzód, w jednej chwili minęła pokój, przeskoczyła przez okno i znikła.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie uczyniło okno, przez które przed chwilą przesunęła się sylwetka padającego w przestrzeń ciała. Nagle wydało mi się ono tak wielkiem, jak niebo i tak pustem, jak przestrzeń. Nieświadomie cofnąłem się w głąb pokoju, czując, że mnie to okno przyciąga z tajemniczą siłą.

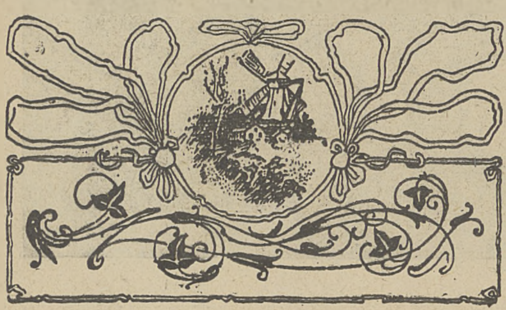
Przyjaciel mój zastygł na miejscu.

Nieszczęśliwą dziewczynę przyniesiono z potrzaskanemi nogami.

Nie wiem, czy to wyrzuty sumienia, czy może wdzięczność, dość, że Jan wziął ją z powrotem do siebie i ożenił się z nią.

* * *

Zbliżał się wieczór. Młodej kobiecie widocznie było chłodno, bo lokaj otulił ją szalem i skierował wózek na drogę. Malarz nie odstępował ani na chwilę żony, lecz w przeciągu całego czasu nie przemówili do siebie słowa.



BAL.

W oświetlonej jasno sali
Zabrzmiał pierwszy ton melodyi — introdukcyi ton,
Wśród kryształów żar sie pali,
Kwitną główki z krasnych szali —
Idą damy i panowie — one strojne uśmiechnięte, jadą z różnych stron.
Cudna muzyka, łono przenika,
W rozkoszy zda się kąpie się świat—
Coraz to nowa para pomyka
Coraz to inna dziewica kwiat!
Posadzka niby tafla lustrzana,
Odbija światło i barwy cień —
Płynie melodya miła i znana,
Z nią wspomnień roje z wiosennych tchnień.
Tam — na tancerzu wsparta ramieniu,
Płynie syrena spowita w mgły,
Kosa złocista — urok w spojrzeniu
Jak z majak wróżka—jak lilia drży.
Ot — i dźwięki mazurowe —
Poruszyły krew zakrzepłą — młoda kipi krew!
Rozchylone koralowe —
Drgają ustka purpurowe.
I ta nóżka — jak kopciuszka — lśni się czarna brew!
Tańczy dziewczyna, aż urok bije,
Z śnieżystych ramion z różanych lic —
Perłowe zmory oplotły szyje,
W tempie mazura nie czuje nic —
Bo ta melodya upaja duszę,
Upaja serce, bo z dawnych lat —
Przy jej tal dźwięku kwitły kontusze,
Drżały posady Lechickich chat!
Ach dźwięk mazura, ten ukochany,
To powiew wiatru z ojczystych pól,
Przy tej melodyi Polak stroskany
Zapomnieć zdolen swój własny ból!
Łączą pary się urocze
Naprzeciwko dwurzędowo, niby żywy a ruchliwy—ów kwiecisty łan,
Uplecione lśnią warkocze
I serduszka drzą ochocze —
Bo zaczyna się ów cudny, pełen gracyi i dynstynkcyi wdzięczny franków tan.
Ileż słów miłych, uściśnień dłoni,
Przywodzi taniec na myśli ten —
Gdy czarne oko błękitne goni,
Jak wspomnieć miło — choć był to sen. —
Tam się sukienka miga różowa,
Tej bladolicej ciemnawy splot —
Przy niej dansera poważna głowa,
W takt postępują, lub biegną w lot.
I z taką gracyą ukłon wzajemny
Oddaje sobie łan pięknych par —
Zna i on w sobie urok tajemny
Ów nadsekwański taneczny czar.
Lecz przeminą te złudzone,
Te godziny przetańczone —- te zachwyty upojenia złotych marzeń rój.
Gdy lampiony pogaszone —
Zwiędną kwiaty porzucone,
Zfruną znowu, jak motyle, dni powszednich zwykłe mary, dawnej nudy znój!
Ach piękne panie, czy choć na chwilę,
Serduszka wasze wspomniały to —
Że na tej ziemi jest nędzy tyle
A wszędzie z kątów wyziera zło?
A wy panowie z kwiatkiem u fraka
Czyż wasze serca wspomniały to?
Że ta zimowa noc — mroźna taka—
Że w noc tę z głodu zmarł może kto?
Lecz może—może któż zbadać zdoła
Ludzkiego serca tajemny bieg —
Ile zeń głosów szlachetnych woła
Wiodąc bezwiednie nad dobra brzeg.

Dla narodu dobrotliwego, jak nasz, szlachetnego do zbytku, mającego odrazę do przelania krwi niewinnej i który nie może nigdy zamknąć zupełnie ucha przed głosem ludzkości i sumienia, wiara w Boga, ten kamień węgielny i wieniec wszystkich doskonałości w człowieku, jest koniecznie potrzebną, abyśmy kiedykolwiek mogli wierzyć także w siebie i działać opierając się na sile własnych cnót, które bez tego warunku ani rozognić stałym płomieniem, ani dotrwać w klęskach i wznieść się do potrzebnych ofiar, ani wreszcie potrafią uczynić nas godnymi losów, których żądamy. Adam Czartoryski.

Czylan.

Trzeci kontredans.

Elegia karnawałowa.

Czekała, lecz nikt nie dostrzegł śladu zaniepokojenia. Tęskniła, lecz formy towarzyskie, pozorną wesołością, schroniły ją od natrętnych zapytań.

— Adelo, z kim tańczysz trzeciego kontredansa, zapytała matka, nie bez trudu przeszedłszy wśród tłumu balowego, na drugą stronę salonu.

Odpowiedź była konieczną, lecz jak ją przez łzy wyrazić? — Matka, z półsłówka odgadnie, jej fałszu mówić nie wolno.

Dyplomatyczne poprawienie ponsowych maków na czarnej grenadinowej sukni i błagalne spojrzenie Adeli starczyło, by o nic więcej nie pytać.

* *

Ostatnie pary przy cichnącej muzyce walca, przebiegały salę. Służba w drzwiach bocznych czekała, by na srebrnych tacach roznieść chłodniki.

Kobiety lubią walca, lecz nie wszystkie tańczą dla tańca... a choć większość utrzymuje, że powierzchowność dansera jest im obojętna... statystyczne dane stwierdzają, że urodziwy młodzieniec zawsze ma pierwszeństwo w wyborze — a on, czyż z oparcia ręki na swem ramieniu, nie ocenia stopnia życzliwoci, dającej mu miarę, jak długo tańczyć wypada? Wiadomo zresztą, że jedna i ta sama danserka umie być lekką jak sylfida, gdy ją uczucie ogarnie, lub toczyć się jak statua, gdy dusza stygnąć zaczyna. Odprowadzona na miejsce, daje, lub nie daje wyrazem oczu poznać, czy wolno powrócić... lub zginąć w tłumie skoczków salonowych.

* * *

Wszystko jaśniało przepychem balowym. Tak zwane rond, czyli wieniec tancerzy obojej płci, pięknie się oku przedstawiał, a damy lubowały się świetnością swej cery, szczęśliwie kontrastującej z posępną barwą czarnych fraków.

Doniosły organ dyrygującego, wygłosił trzeciego kontredansa; wesoły szmer i rozbawione śmiechy, ocknęły na wpół senne matrony, czarna tylko grenadinowa sukienka, chciała być niewidzialną w zagłębieniu okna, i gdy dbała o powodzenie balu gospodyni, obchodziła salon, by się upewnić, czy wszystkie damy mają danserów, Adela czuła, że ją pytanie nie minie — przejście do buduaru i oglądanie albu-



En evant. (Naprzód).

mu z fotografiami, groziło prezentacyą pierwszego lepszego panicza, z żalem opuszczającego papierosa, pod naciskiem nalegań gospodyni — a tańczyć z kim innym, i to trzeciego kontredansa, byłoby profanacyą! — Wstała więc, gdyż dolna część jej sukni, technicznie zwana balejezą, napotkawszy zawadę sąsiedniego krzesła, lub może przypadkiem... nadeptana obcąsikiem, nadmiernie się przydłużyła, wskutek czego, przejście do garderoby okazało się koniecznem.

Ochrypły dyrektor tańców, wygłosił porządek następnej figury, a gdy matka wraz z córką były już w drugim pokoju — ktoś silnie do drzwi wchodowych zadzwonił.

Gdyby magnetyzm nie mylił, Adela byłaby przeczuła, że dwoje oczu szuka jej wśród balowego gwaru — ona się tego nie domyślała — przeciwnie, fantastyczne widma zbolałej duszy, zatruwały ją jadem zazdrości.

— Przyrzekł, nie przyszedł... więc jest kim innym zajęty... „ja nim pogardzam" było wymówione... cóż kiedy serduszko jak biło tak biło.

— Zostaw mnie samą, matko, rzekła, gdy suknia pod zręczną igłą garderobiany odzyskała pierwotną całość, — tutaj tak dobrze, tak chłodno, odpocznę chwilkę.

Tym odpoczynkiem był nadmiar łez niknących w sali balowej, w bieluchnym puchu wachlarza. Zdala od rozbawionego gwaru, spokój, ulgę jej przynosił, nic ciszy nie przerwało, prócz szelestu liści sztucznych kwiatów, poruszanych przyśpieszonym oddechem jej piersi. Był to jedyny ślad życia, gdyż cała postać tkwiła bezwładnie w aksamitnem krześle — biała rączka, odwrócona różową dłonią, dumnie spoczywała na krawędzi, a rozdarta długa rękawiczka leżała na ziemi.

* * *

Zajęta w sąsiednich pokojach służba, przygotowaniem kolacyi, ciągłem otwieraniem drzwi, ułatwiała dźwiękom muzycznym wtargnięcie do świątyni smutku; ten stan rzeczy drażnił Adelę, jak radosne okrzyki barbarzyńskiej hordy, pastwiącej się nad swą ofiarą; zasłoniła też skroń ręką, raz jeszcze podniosła główkę na odgłos bijącego zegaru i zwiesiła ją na ramię jak zziębnięta poranną rosą azalia.

Po chwili, zupełna nastąpiła cisza, ponsowy nawet bukiecik maków, przestał się poruszać na jej piersi.

* * *

Po miękkim dywanie dwie postacie zbliżały się ku zbolałej męczenniczce miłości; był to urodziwy młodzieniec, prowadzący opartą na swem ramieniu poważną damę. Stanęli na progu, naradzając się.

— Zasnęła, nie przerywajmy jej, rzekła dama, lecz daremne były uwagi, młodzian szybkim ruchem już klęczał przy krześle i gorącemi pocałunkami ogrzewał zwieszoną rączkę.

Adela żyła jeszcze; długiem milczącem spojrzeniem wpatrywała się w przybyłego, dotykając jego czarnych włosów, by się upewnić, czy ją wzrok nie myli, a matka stojąca obok, zrozumiała, o co chodzi...

Łatwość, wstręt do pracy, chęć pokazania nauki bez gruntownego jej posiadania, duma przybrana grzecznością, lekceważenie innych, rozwiązłość a niestała miłość, naśladownictwo: są to teraźniejsze, a może choć nie w takim stopniu dawniejsze wady. Niech te wady wzmogą się w nałogi, a wtenczas przyjdzie ten moment, o którym Seneka mówi, że już nie masz lekarstwa, i dopiero do powrotu cnót zawsze użytecznych, potrzeba będzie tłoku nieszczęść. ***Tadeusz Czacki.***

Wojsko olbrzymów.

Fryderyk Wilhelm I., król pruski, głośny z dziwactw, stąpstwa i brutalności, ojciec Fryderyka II-go, Wielkim przez Niemców zwanego, największą miał rozkosz w mustrowaniu swych „niebieskich“ (od mundura tak nazwanych) dzieci. Obcował z niemi aż do stopnia kapitana jak kamrat, żołnierzami opiekował się, jak ojciec.

Najdroższymi mu jednak byli jego „długie chłopaki“, jak zwykle nazywał swoją poczdamską gwardyę, złożoną z ludzi olbrzymiego wzrostu. Werbował on ich w swojem państwie i we wszystkich zakątkach świata, a płacił za to grube pieniądze i dawał żołd wysoki. Zaprzyjaźnieni z Fryderykiem monarchowie robili mu z olbrzymów prezenty, a gdy się nie dało inaczej, uprowadzać ich siłą kazał swoim werbownikom. Żaden z panujących przedtem i wówczas nie uprawiał tej szacherki ludźmi tak *con amore,* jak Fryderyk Wilhelm I. Pisze on w r. 1716 do hr. Seckendorfa, posła austryackiego: „Gdybym mógł od moich kuzynów (książąt: Anspach i Baireuth) dostać 400 ludzi, dałbym za każdego po 30 talarów.“

W latach od 1713—1735 wysłał za granicę 12 milionów talarów werbunkowych pieniędzy. Pruscy werbownicy wyższego i niższego stanu, zaopatrzeni w paszporty, urządzali werbunki w krajach ościennych. W Jülich niejaki baron von Hompesch, którego król mianował pułkownikiem, werbował przemocą i podstępem. Zdarzały się tam różne ciekawe przygody. Pewnego razu baron zamówił u stolarza ogromną skrzynię. Kiedy przyszedł w kilka dni po nią, zauważył, iż jest ona za krótką. Stolarz chcąc go przekonać, wlazł do skrzyni, a baron, zamknąwszy czemprędzej wieko, kazał uprowadzić w ten sposób zwerbowanego rekruta. Lecz gdy przy bramach miasta otworzono skrzynię, stolarz już nie żył.

Skazano Hompescha na śmierć, lecz król zmienił wyrok na dożywotnie więzienie.

Wielkie zyski, jakie osiągali werbownicy, dawały powód do straszliwych i krzyczących nadużyć. Na granicy polskiej uprawiał to rzemiosło stale tajny radca Wilke, w Hamburgu stały rezydent Evers. Ale ci obaj dostali się na dożywotnie mieszkanie do Szpandawy. Czasem wyruszało w świat 800—1000 werbowników. K. Weber, autor znanego „Demokryta“, opowiada, że dziada jego, studyującego teologię, porwano w Norymberdze ze spaceru publicznego dlatego, że miał 6 stóp i 3 cale miary. W Austryi pozwolono werbować królowi od czasu traktatu w r. 1726 (w Wusterhausen).

Nikt nie zdołał się niczem lepiej przypodobać królowi, jak „dużym dryblasem.“ Dyplomaci obcych mocarstw wygrywali sprawę w ten sposób skuteczniej, niż wszelkiemi argumentami. W Austryi więc zwerbowano od 1726—1735-go 3700 ludzi. Pruscy werbownicy zapuszczali się i do Włoch. Schwytali raz katolickiego księdza, a w Rzymie zakonnika i obydwóch umieszczono w poczdamskiej gwardyi. Owego księdza uwolnił dopiero Fryderyk II., był to znany później opat Bastiani.

Król sasko-polski i cesarz Piotr byli również dla Fryderyka Wilhelma I. w tym względzie łaskawi.

Wkrótce na olbrzymów utworzyła się stała taksa. Za wysokość 5 stóp i 10 cali reńskiej miary płacono 700 talarów, za sześciostopowego już 1000 talarów. Cena rosła w stosunku do wysokości. Najdrożej kosztował Irlandczyk Kirkloud. Zapłacił za niego pruski poseł w Londynie, Brock, 9080 talarów, oprócz wszelkich innych kosztów, a jeszcze przyjął go niby za lokaja, i tak dowiózł do Poczdamu. Za innego zapłacił jenerał Schmetau 5,000 talarów.

W samym kraju zaznaczano dzieci w kołysce, obiecujące dojścia do wysokiego wzrostu. Nosiły one „czerwoną wstążkę“ na szyi, a rodzice ich dostawali zadatek. Usiłowania króla łączenia wysokich Poczdamczyków z wysokiego wzrostu kobietami, celem wytworzenia rasy olbrzymów, nie powiodły się.

Skargi z powodu tych werbowników i samoobrona, wywołane przez gwałt, trapiły nieraz króla. Mimo, że miał się za dobrego chrześcijanina, pozwalał jednak na wszystko, gdy chodziło o zwerbowanie olbrzyma. Z Saksonią wypadły z tego powodu zatargi, a z Hanowerem omal nie przyszło do wojny. Landgraf heski wieszał bez ceremonii werbowników, namawiających do porzucenia sztandaru. Tak samo czynił elektor bawarski i Holandya.

Pułk piechoty niebieskich grenadyerów, stojący załogą w Poczdamie, nazwany „królewskim regimentem“, należał do najpiękniejszych w Europie. Stał pod osobistemi rozkazami króla, który się mianował jego pułkownikiem. Składał się z trzech batalionów, każdy po 800 ludzi, a należeli tu: Niemcy, Holendrzy, Anglicy, Szkoci, Irlandczycy, Szwedzi, Duńczycy, Rosyanie, Rumuni, Węgrzy, Polacy i Litwini. Doboszami i trębaczami byli murzyni. Żołd wynosił miesięcznie 4 talary, ale niektórzy otrzymywali i 30 talarów. Jeden Norwegczyk był tak wysoki, że król August Mocny podczas pobytu swego w Poczdamie w 1728 r. zaledwo mógł mu wyciągniętą ręką dosięgnąć głowy.

Wszystkich swych grenadyerów kazał król portretować w naturalnej wielkości. Wolno im było uprawiać różne rzemiosła. Król budował im domki, darowywał grunta i żenił ich. Pomimo to, znajdował się on nieraz wśród tych „swych dzieci“ w niebezpieczeństwie życia. W 1730 r. wybuchło sprzysiężenie, do którego należało 87 a w r. 1736 drugie. Ukarano spiskowców okrutnie.

Król przyznał się swemu następcy, że utrzymanie tych grenadyerów kosztowało go tyle, co 10,000 ludzi rocznie. Później Fryderyk II. zrobił z nich związek dziewięciu pułków, a z najwyższych porobił hajduków i laufrów.

Słynny edykt Fryderyka Wilhelma I. z roku 1733, znany pod nazwą „Kantonalnego uregulowania“ stał się podstawą późniejszej landwery. Na mocy tegoż „wszyscy mieszkańcy kraju, bez różnicy, obowiązani byli służyć wojskowo.“ Wyjątek stanowili tylko ludzie małego wzrostu, synowie szlachty i synowie mieszczan, mogących się wykazać majątkiem 10,000 talarów, oraz synowie pastorów. Więc też, kiedy Fryderyk Wielki zmarł, armia wynosiła 80.000 ludzi, pomiędzy którymi 18.000 kawaleryi.

Karność panowała tu tyrańska. Kije były codzienną strawą. Król był tak akuratny, że, jak się wyraża jeden z pamiętnikarzy, byłby sam siebie posłał na odwach za niezapięcie munduru. Dezerterom obcinano uszy i nosy, albo ich odrazu wieszano. Mimo to uciekało corocznie do 250.

Z tak to przygotowaną armią odnosił później Fryderyk II. zwycięstwa, które małe Prusy znacznie powiększyły, i pomimo przejściowych klęsk w epoce Napoleońskiej, stały się podwaliną ich późniejszej potęgi, oraz hegemonii nad innemi państewkami rzeszy niemieckiej.

Sługa Boży pracuje do późnego lata;
Gnuśnik tylko zawczasu zamyka się w grobie,
Nim go Pan trąbą straszliwą przebudzi.
Adam Mickiewicz.

* * *

Gdy nie ma się co mówić, trzeba cicho siedzieć;
Lepiej milczeć rybeńko, niż głupstwo powiedzieć.
Al. Fredro.



Maleszewski. **Głowa kobiety.**

Rycina powyższa t. zw. „studyum" świadczy o talencie naszego rodaka. Piękna głowa kobiety jest odtworzona w sposób nadzwyczaj zręczny i umiejętny.

Wróżba.

Któż nie jest ciekawy swojej przyszłości? Niema chyba na świecie podobnego człowieka, a jednak przyszłość bywa nieraz taka nieciekawa, że lepiej byłoby jej nie znać. Dociekanie atoli tajemnic przyszłości, to pragnienie ogólne, ta gorączka dowiedzenia się czegośkolwiek o losach swych, jest właśnie przyczyną, że różne zabobony jako to: wróżbiarstwo, kabały, gusły, utrzymują się do dziś dnia wśród ludu, a nawet istnieją jeszcze nieraz w zakątku ducha ludzi inteligentnych. Jest to jakby niewidzialna nić mistyczna, która nas spowija, tem ciekawsza, im bardziej tajemnicza.

Człowiek mimowoli chwyta w lot każde zdarzenie, tłomaczy je sobie według swego widzimisię i na tej zasadzie uchyla rąbek zasłony przyszłości, w przekonaniu, że przecie odgadł, co mu w dalszem życiu na karcie losu zapisano. Często się myli, czasami z biegiem okoliczności dobrze trafi i wyrzuca sobie, że mimowoli wywołał nieszczęście.

Lud prosty, który dużo fantazyi posiada, niewyczerpany jest w środkach odgadywania przyszłości, nie ma chyba wsi, w którejby nie istniała taka wyrocznia w postaci jakiegoś znachora lub znachorki, trudniących się wróżbiarstwem i kabalarstwem. Jednakże Wschód pod tym względem przewyższa nas o wiele. Arabowie z prawdziwą namiętnością oddają się wszelakim zabobonom, wierzą w złe i dobre duchy, które mają im przeszkadzać lub pomagać w robocie. Egipt obfituje w całą masę książek, w których podają przepisy na czary.

Podobna książka, oprócz modlitw i wyrazów kabalistycznych posiada jeszcze mnóstwo recept na silne aromatyczne kadzidła, w którego skład wcho-

dzą: aloes, benzoina, żywica i rozmaite inne zioła, nic też dziwnego, że pod ich wpływem odurzeni wróżbiarze opowiadają niestworzone rzeczy. Po ulicach Kairu snują się bez ustanku przeróżni czarodzieje, utrzymujący związki z pozagrobowemi istotami, gwałtem ofiarowując swe usługi przechodniom.

Posiadają oni mnóstwo sposobów, któremi odgadują przyszłość ciekawym. Jedni czynią to za pomocą wczytywania się w gwiaździsty firmament, inni z wróżenia z ręki, a jeszcze inni mają tysiące rozmaitych praktyk, otumaniających łatwowierną publiczność. Jednem z ciekawszych kuglarstw jest sztuczka z czarodziejskiem zwierciadłem.

Wróżbita zakreśla najpierw swą pałeczką czworobok, lub koło i w pośrodku tegoż stawia małego chłopczyka, dając mu w rękę kubek napełniony wodą lub kawą, w którą każe mu nieustannie patrzeć. Po tych przygotowaniach rozpala kadzidło w ten sposób, iż dym cały owiewa chłopca, którego oczy wkrótce gorączkowo nabierają blasku, a ręka drżeć zaczyna.

Wtedy to kuglarz chwyta biedne dziecko i nie spuszczając go z oczu, każe sobie opowiadać, co widzi na dnie kubka. Odpowiedzi chłopca są zazwyczaj niejasne, ale w tym razie wróżbita posiada moc fantazyi, którą według woli tłómaczy myśli wypowiedziane przez małą wyrocznię.

Wszystkie praktyki czarodziejów są mniej więcej podobne do siebie, a jednak rzecz to ciekawa, że mimo dokładnego już wyświetlenia tej sprawy, wiara ludu nie zmniejszyła się bynajmniej i wróżbiarze posiadają mnóstwo zwolenników, zarabiających nieraz porządne sumy.

To też zdarza się dość często, że z fachu tego utrzymują się całe rodziny, odziedziczając tradycyonalnie tajemnice kabał i sztuczek z ojca na syna.

Zawodowa praca jako kuracya.

Znane są ogólnie tak zwane „choroby zawodowe“, nieodłączone od pracy w rozmaitych zawodach. Jednakże wykazy statystyczne, o ile są prowadzone wzorowo, ujawniły ciekawy, a mniej znany fakt, że niektóre zajęcia nietylko nie przynoszą szkody zdrowiu robotników, ale leczą rozmaite cierpienia. Między innemi, okazuje się, że czyściciele mający do czynienia z padliną, zamiatacze ulic, i ludzie utrzymujący porządek w kanałach cieszą się doskonałem zdrowiem i długiem życiem.

Ludzie zajęci przy wyrobie cjanku, potassu, gwałtownej trucizny — podczas pierwszych miesięcy nabierają ciała, a jeżeli cierpieli przedtem na reumatyzm, artretyzm i pokrewne im choroby, dolegliwości te znikają, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Dziewczęta anemiczne, a nawet cierpiące na suchoty w pierwszym okresie doświadczają znakomitej ulgi, pracując w fabrykach laku. Robotnice w fabrykach czekolady, nabierają rumieńców, ciało ich jędrnieje, bez względu na stopień wycieńczenia w jakim znajdowały się przed wejściem do fabryki.

Ludzie, pracujący w kopalniach nafty, nie chorują nigdy na cholerę i odznaczają się bujnemi włosami; łysych nie spotyka się między nimi wcale, ani wśród tych, którzy zajęci są przy przelewaniu nafty na kolejach.

Rzeźnicy cieszą się zawsze zdrową cerą i dobrą tuszą, a panny zajęte przy sprzedaży wędlin, słyną z cery białej i różowej, i nie są nigdy chude.

Możnaby z tych obserwacyi wyprowadzić wniosek, że przy dokładniejszem zbadaniu i odpowiedniem zastosowaniu różnych właściwości zawodowych, dałoby się je zużytkować, jako sposób leczenia, dla ludzi niemających środków na długie i kosztowne kuracye.

Wiadomości.

* **Termin ubiegania się o nagrody wyznaczone za rozszerzanie „Pracy,“ upłynął z dniem 15-go b. m. Nagrody wysłaliśmy komu należało dnia 20-go stycznia.**

Administracya „Pracy.“

* **Tow. Czytelni ludowych** w Poznaniu prosi panów wydawców, aby zechcieli nadesłać **bezpłatnie** po jednym egzemplarzu z nowych nakładów swoich celem ich oceny i ewentualnie zakupu.

Warunki: treść odpowiednia, trwały papier i wyraźny druk.

Spieszne załatwienie jest bardzo pożądane, ponieważ recenzya, zamówienie i oprawa wiele zajmie czasu, a wysyłka do poszczególnych dzielnic i bibliotek już przy końcu maja rozpocząć się powinna.

Adres: Centr. biuro Tow. Czytelni Ludowych.

Poznań — Posen
Strzelecka 31 — Schuetzenstr.
Mieczysław Neyman.

Uprasza się inne gazety o przedruk.

* **„Straż.“** Członkowie naszych nowo założonych towarzystw okręgowych i parafialnych będą w najbliższym czasie w myśl regulaminu i katechizmu narodowego odwiedzać rodziny polskie. Jako legitymacya służą karty kwitowe z dokładnem oznaczeniem okręgu, ulicy lub wsi. Apelujemy do społeczeństwa polskiego, aby w imię szczytnego hasła narodowego, któremu członkowie „Straży“ służą, przyjmowano ich jako prawdziwych przyjaciół rodziny i narodu polskiego!

Wydział organizacyjny i Zarząd „Straży.“

* **Ślub.** Dnia 19-go b. m. pobłogosławiony został w kościele parafialnym w Marzeninie związek małżeński pomiędzy p. Józefem Lipowiczem, właścicielem folwarku Wielkiej Goli, a panną Klementyną Ciążyńską, pasierbicą p. Henryka Lipowicza, dzierzawcy Noskowa. Młodej Parze szczęść Boże!

* **Koźmin.** W niedzielę dnia 10-go b. m. odegrano z łona Koła Śpiewackiego na sali p. Karasiewicza sztukę kontuszową „Niespodzianka“ przez Walewskiego, z której tak amatorzy jak i amatorki wywiązali się nadspodziewanie. Koło Śpiewackie wzięło także udział pod batutą swego dyrygenta p. J. Gwizdały. Śpiewy wypadły nadspodziewanie, za co publiczność podziękowała burzą oklasków.

Na zakończenie po nad program popisywała się bawiąca tu na wakacyach p. Włodzimira Stachowska, córka prezesa, grą na fortepianie, która wywarła na zgromadzonych wielkie wrażenie.

Całość przedstawienia jako i dobrze wćwiczone śpiewy wypadły nadspodziewanie, poczem nastąpiły tańce, przeplatane grami towarzyskiemi.

Publiczność licznie dopisała oraz duchowieństwo nie tylko miejscowe, ale i okoliczne, dając „Kołu“ bodźca do dalszej pracy.

Kołu śpiew. przychylny uczestnik i miłośnik śpiewu.

* **Kunowo,** dnia 12-go stycznia 1909. **Prośba.** Z wiosną z. r. rozpoczęliśmy budowę nowego kościoła. Na fundusz potrzebny z naszej strony złożyły się ofiary parafian, wsparcie łaskawie nam udzielone przez Władzę duchowną, oraz pożyczka zaciągnięta w wysokości 25,000 mrk. Niestety zaraz z początku zaskoczyły nas nieprzewidziane trudności. Grunt przeznaczony na budowę, okazał się zupełnie nieodpowiednim. Trzeba było kopać fundamenta 4 i 5 metrów głębokie i zakładać beton. Wskutek tego ogromne powstały koszta. Fundusze, które mieliśmy do dyspozycyi, obliczone na całkowite wewnętrzne urządzenie kościoła, utonęły w ziemi, pochłonięte przez nadspodziewanie drogie fundamenta. To też obecnie, gdy mury wykończone i drzewo zaciągnięte, jesteśmy bezradni, bo bez grosza, bez wszelkich zasobów nawet na najskromniejsze przyozdobienie Domu Bożego. Parafia zaś licząca dusz niespełna 1800 i bardzo już obdłużona i z lat dawniejszych i z powodu obecnej budowy na nową pożyczkę odważyć się nie może. W tej biedzie naszej, ostatecznością zmuszeni, ośmielamy się prosić pokornie o łaskawe ofiary na wykończenie tutejszego kościoła.

Wszelkie i najmniejsze datki z wdzięcznością przyjmuje

Ks. Jezierski, proboszcz.

Kunowo, w styczniu 1909.

(Kunthal, Kr. Schrimm).

* **Z Szubina** odebraliśmy od Wydziału, zbierającego składki na budowę sali dla towarzystw polskich tamże, dalszy ciąg spisu osób i towarzystw, które złożyły datki na cel powyższy. Spisu, ogłoszonego w gazetach codziennych, nie zamieszczamy w „Pracy“ dla braku miejsca.

„Szlachetnym Ofiarodawcom — tak się kończy komunikat — składamy wyraz serdecznej wdzięczności. Łączymy zarazem w imię potrzeby tak naglącej gorącą prośbę o dalsze łaskawe datki.“

W imieniu wydziału tow. w Szubinie: K. Maliski, przewodniczący. S. Walkowski, skarbnik.

* **Wągrówiec.** W mieście naszem postanowiono założyć nowy bank. Będzie to tylko urzeczywistnieniem życzeń bardzo wielu, albowiem wielka część społeczeństwa tutejszego odczuwała już od dawna potrzebę założenia drugiego Banku opartego na prawach spółkowych.

Wprawdzie mamy w mieście naszem Bank ludowy, który już dawno 25-tą rocznicę swego istnienia obchodził — lecz bank ten pracuje tylko w pewnym kierunku t. j. udziela pożyczek na weksle i przyjmuje oszczędności, nie wyzyskuje zatem wiele gałęzi bankowych. Co prawda interesy tutejszego Banku ludowego są tak liczne, tak rozprzestrzenione, że trudnoby mu było całemu ogromowi pracy podołać.

Ugorem leżą przedewszystkiem interesa kupców, przemysłowców, a nawet rolników.

Wobec utrudnionego kupcom i przemysłowcom kredytu, a braku gotówki w rolnictwie, które chcąc odpowiednie wyciągnąć zyski z swoich gospodarstw, potrzebuje ciągle rozmaitych nakładów, jako to melioracya ziemi, zakupno odpowiednich narzędzi, maszyn, stucznych nawozów, inwentarza żywego itd. postanowił bank, założyć się mający, właśnie w tych interesach pośredniczyć, przez ułatwienie tak kupcom i przemysłowcom jako też rolnikom kredytu t. j. dając pierwszym gotówkę za sprzedane towary i wyroby, a umożliwiając drugim łatwe i dogodne wpłaty.

A jak mało zajęliśmy się jeszcze naszymi mniejszymi wiejskimi i miejskimi właścicielami n. p. przy regulowaniu hipotek, zaciąganiu landszafty, parcelacyach i innych tak często zachodzących operycyach pieniężnych!

Piszący słowa te żyje od lat kilkudziesięciu w małem mieście, styka się w równej mierze tak z kupcami, przemysłowcami jako też z gospodarzami, miał więc wiele sposobności przekonania się, że na tem polu prawie jeszcze nic, albo nie wiele zdziałano, i nieraz nasłuchał się skarg, ile to trudności i kosztów sprawia tak obywatelom miejskim jako i wiejskim, a szczególnie mniejszym gospodarzom regulowanie hipotek, zaciąganie landszafty lub innej pożyczki bankowej.

Jedni i drudzy niby z oszczędności, udają się po poradę do nieodpowiednich ludzi, którzy z nieświadomości interesentów niepoślednie zyski osiągają — po gotówkę zaś do rozmaitych prywatnych kapitalistów, którzy za wyświadczone niby dobrodziejstwa, nie tylko w gotówce, ale i pod podstacią rozmaitych upominków i wynagrodzeń za dobre serce i trudy znaczny haracz pobierają!

Gospodarz upominków tych sobie nie liczy, boć to wyrosło, a to się wychowało w gospodarstwie, a więc nic nie kosztuje! zapomina jednakowoż o tem, że gdyby to wszystko zamienił na pieniądze, to płaci tego rodzaju dobrodziejom swoim nie 5 lub 6 procent, lecz 15, 20 do 30 procent.

Nowo założyć się mający bank ma zamiar w tych i wielu innych kierunkach, któreby później się jeszcze wyłoniły, swoją działalność rozpocząć. Z istniejącym już Bankiem ludowym nie jako współzawodnik, lecz jako współpracownik pragnie nowy bank sprawie społecznej się przysługiwać.

* **Zapytanie.** Jedna z naszych czytelniczek prosi nas o umieszczenie zapytania, czyby kto z czytelników nie mógł wskazać miejscowości gdzieby można założyć **pensyonat dla przyjezdnych w Księstwie, Śląsku lub w Prusach,** albo też w Galicyi, wreszcie u wód, lub też na wsi dla potrzebujących wypoczynku, i świeżego powietrza. Łaskawe informacye prosimy nadesłać do redakcyi „Pracy.“

* **Z Zachodnich Prus. Wiec „Straży“** w Brodnicy odbędzie się w niedzielę, dnia 24-go b. m. o 2-giej godz. po poł. na sali p. Jacobsohna. Na porządku obrad: Reorganizacya „Straży“ i nowe prawo o stowarzyszeniach, do których i niewiasty należeć powinny.

O liczny udział w zebraniu prosi szanowne rodaczki i rodaków miejscowych i okolicy

Bolesław Bardzki, starosta.

Nekrologia.

† **Ś. p. Zofia z hr. Skórzewskich Zygmuntowa Niegolewska,** matka okulisty i posła dra Felicyana Niegolewskiego, dnia 10-go b. m. w Poznaniu, w 70-ym roku życia. Zwłoki złożono w grobie familijnym w Buku dnia 14-go b. m. — **Ś. p. Kazimierz Goleniewicz,** radzca rejencyjny i budownictwa, dnia 10-go b. m. w Osnabrücku, prow. Hanowerska. — **Ś. p. z Michałowskich Weronika Kalinowska,** dnia 10-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Władysław Górzyński,** dnia 9-go b. m. w 43-cim roku życia w Poznaniu. — **Ś. p. dr. med. Jan Urbański,** weteran z roku 1863-go, dnia 10-go b. m. w Kłecku, przeżywszy lat 64. — **Ś. p. dr. Antoni Broekere,** weteran z r. 1863-go, dnia 12-go b. m. w Śremie, przeżywszy lat 66. — **Ś. p. Walerya z Cynkiewiczów Kantorska I. voto Hoffmann,** dnia 11-go bm. w Poznaniu, przeżywszy lat 69. — **Ś. p. ks. Jan Kanty Kowalski,** jubilat-proboszcz w Czeszewie nad Wartą, dnia 13-go b. m. w 80-tym roku życia. — **Ś. p .Ludwik Brodowski,** dnia 15-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 26. — **Ś. p. Adolfa z Fritschenów Matczyńska,** dnia 14-go b. m. w Strzelnie w 72-gim roku życia. Zwłoki złożono w grobowcu rodzinnym w Ostrowie pod Gębicami dnia 18-go b. m. — **Ś. p. Leon Gibasiewicz,** kleryk minorzysta seminaryum duchownego w Poznaniu, dnia 15-go b. m. w Sulmierzycach, w 24-tym roku życia. — **Ś. p. Franciszek Stark,** dnia 13-go b. m. w Poznaniu, w 31-szym roku życia. — **Ś. p. Kaźmierz Mańkowski, Sodalis Marianus,** dnia 15-go b. m. w Turwi, przeżywszy lat 26. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Józefowi N. w O.** — Dziękujemy za słowa uznania: „„Praca“ jest bardzo pięknem, pożytecznem pismem, zwłaszcza tu na obczyźnie.“ Cieszy nas bardzo, że się Szan. Panu nasze upominki gwiazdkowe podobały, mianowicie „Herb Polski,“ który Szan. Pan dał do oprawy. Dziękujemy za łamigłówkę, którą zamieszczamy i zasyłamy serdeczne pozdrowienie.

— **Panu Tomaszowi P. w B. (Górny Śląsk).** — Zastosujemy się, ile możności, do życzenia Szan. Pana.

— **Pani Maryi W. w Poznaniu.** — Pani Kremer, plac Wilhelmowski nr. 3.

— **Wiernej Czytelniczce „Pracy“ w Poznaniu.** — 1) W tej sprawie trudno radzić i informować. Radzimy udać się do „Straży,“ która chętnie udzieli informacyi i wskazówek. 2) Co do Galicyi to udzieli informacyi „Zakład kórnicki hr. Zamojskiej w Zakopanem.

— **Pani Maryi S.** — Wiersz „Zima“ jest słaby pod względem formy, pominąwszy błędną ortografię niektórych wyrazów, zatem nie nadaje się do zamieszczenia w „Pracy.“ Dziękując za łaskawą pamięć, oświadczamy, że zaopatrzeni jesteśmy na czas długi w **rzeczywiście dobre i piękne wiersze.**

— **Panu Marcinowi L. w S. pod Obrzyckiem.** — 1) Każda osoba ma zasadniczo jeden głos. Jednakże właściciele gruntów w gminie, z których opłacają rocznie 20 do 50 mrk. podatku gruntowego i budynkowego mają po 2 głosy; ci zaś, co opłacają z swych gruntów rocznie 50—100 marek, mają 3 głosy, a ci, którzy 100 mrk. lub więcej opłacają, po 4 głosy. Zasady te może sejm prowincyalny zmienić. Rozpisał się o gminie wiejskiej p. Kościński w broszurze: „Gmina wiejska i jej przełożony.“ O prawie głosowania znajduje się tam ustęp na str. 16, 17 i 18. 2) Nie wolno!

Kalendarzyk historyczny

Dnia 24-go stycznia 1496 nadanie niektórych ziem Konradowi, księciu mazowieckiemu. — 1507 koronacya Zygmunta I. — 1667 sejm odrzuca wniosek o obranie królem księcia Kondeusza. — 1668 ostatni sejm za panowania Jana Kazimierza. — 1706 bitwa ze Szwedami pod Grodnem.

Dnia 25-go stycznia 1548 poselstwo pruskie na sejmie w Piotrkowie. — 1588 zniesienie i wzięcie do niewoli Maksymiliana. — 1610 pobicie Moskwy pod Ułą. — 1684 śmierć hetmana Jana Ogińskiego. — 1831 detronizacya Mikołaja.

Dnia 26-go stycznia 1517 bitwa z Tatarami pod Kaniowem. — 1567 pobicie Moskwy na polach czaśnickich. — 1699 pokój karłowicki z Turkami.

Dnia 27-go stycznia 1510 pożar salin w Wieliczce. — 1736 Leszczyński zrzeka się praw do tronu polskiego. — 1792 sejm w Warszawie gromi nadużycia magnatów. — 1832 wymordowanie w Fischau bezbronnych Polaków.

Dnia 28-go stycznia 1568 wzięcie i spalenie Wielisza. — 1573 konfederacya w Warszawie po śmierci Zygmunta Augusta. — 1831 utworzenie w Paryżu komitetu dla sprawy polskiej.

Dnia 29-go stycznia 1479 śmierć Grzegorza z Sanoka, arcybiskupa lwowskiego. — 1583 uniwersał Stefana Batorego urządzający poczty.

Dnia 30-go stycznia 1363 zjazd monarchów w Krakowie. — 1658 pobicie Tatarów u Sinych wód. — 1667 traktat andruszowskki z Moskwą. — 1706 śmierć Maryi Kazimiry.

Humor i satyra.

Lepiej się nie przyznawać.

Mąż. Tak jest, moja pani, lepiej było ukryć wszystko przedemną. Trzeba ci wiedzieć, że mąż, któremu żona wyjawia całą prawdę, znajduje się w fałszywem położeniu.

* * *

Litościwa.

Rzeźniczka. Nie może sobie panna Maryanna pomyśleć jak mnie żal tych biedaków, co teraz kęsa mięsa nie mogą sobie pozwolić, bo to bydło tak ci podrożało!

Kucharka. No, z czasem to znów bydło stanieje...

Rzeźniczka. Tak, ale my za to już za nic z cen nie zejdziemy, skoro już doszły tak wysoko.

* * *

Z teki dekadenta.

Na dziedzińcu mojej duszy,
Śnieg błękitny z cicha prószy,
I deszcz padać się ośmiela,
Na Nietzsche'go wielbiciela.
Ja zaś stoję cicho sobie,
Przeciw temu nic nie robię,
Bo śnieg taje, deszcz przepłynie,
A genialność ma nie zginie!...

* * *

Także Ahaswerus.

— Wiesz, że ten Bolek, to prawdziwy Ahaswerus.

— Czy tak tuła się za kobietami, od jednej do drugiej?

— Nie, ale od jednego do drugiego lichwiarza po pieniądze.

* * *

Rycerz bez strachu.

— Do licha! mój panie, będziesz miał ze mną sprawę honorową!

— No to co? Ja miałem dwie „kremenalne“ sprawy i też się niczego nie zląkłem.

* * *

Z izby sądowej.

— Najlepiej zrobisz, przyznając się do popełnionego rabunku. Pamiętaj, że prawdą zajdzie się najdalej!

— Nie zawsze, panie sędzio... Ztąd naprzykład nie zaszedłbym ani kroku dalej po przyznaniu się do winy!

* * *

Sędzia: Pan nazwałeś swego sąsiada osłem. Skazuję pana na karę dziesięciu marek; czy masz co jeszcze do nadmienienia?

Oskarżony: Tyle, że ten osioł nie wart dziesięciu marek!

Reklamy.

* **Zwracamy** uwagę na ogłoszenie renomowanej firmy **Ig. Wolniewicz w Kostrzynie** — przedsiębiorstwa pokrywania dachów jak i fabryki artykułów na dachy. Właściciela firmy, pana Ignacego Wolniewicza, możemy sumiennie polecić jako dzielnego, uczciwego fabrykanta, oraz obrotnego przemysłowca, który przez swoje starania od 25-ciu lat i rzutkość rozprzestrzenił dziś na wielką skalę swoje przedsiębiorstwo na Księstwo i Królestwo Polskie. Szczęść Boże rodakowi w dalszej pracy!

* **Pan S. Kaczmarek,** właściciel **składów fryzyerskich** p. f. Salon de Paris przy ul. Rycerskiej Nr. 2, poleca się Szanownej Publiczności. Pan K. praktykował wiele lat we Wiedniu, Monachium, Berlinie, Karlsbadzie, Nauheimie, Budapeszcie, Paryżu itp. i osiedliwszy się przed 6-ciu laty w Poznaniu, urządził interes swój z całym komfortem. Sprzedając towar tylko dobotowy przy umiarkowanych cenach, zjednał sobie tak wiele klienteli, że interes swój powiększył i otworzył obok leżący skład fryzyerski **specyalnie** dla pań z ekspedycyą żeńską. Panie są zatem nieżenowane.

Łamigłówka.

Ułożył czytelnik „Pracy“, Józef Nowakowski z Oberhausen.

Kropki i krzyżyki zastąpić literami tak, aby rządek krzyżykowy, czytany z góry na dół, wykazał nam dwa wyrazy, oznaczające pomysł, na jaki się wzięli Polacy wobec Prusaków, za co stawali przed sądem.

. . . + . . .
. . . + . . .
. . . + . . .
. . . + . . .
. . . + . . .
. . . + . . .
. . . + . . .
. . . + . . .
. . . + . .
. . . + . . .

ZNACZENIE WYRAZÓW.

1. Co inne narody mają to my Polacy tego nie mamy, 2. Imię Świętego, 3. Miasto w Poznańskiem, 4. Osada polska w Turcyi azyatyckiej, 5. Słynny, już nie żyjący malarz polski, 6. Inaczej obmowa, 7. Czego jeszcze bardzo mało posiadamy, 8. Nazwisko historyka polskiego, który umarł w 1861 r., 9. Miejsce bitwy, gdzie Polacy odnieśli zwycięstwo nad Moskalami, 10. Miasto w Persyi.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 30 stycznia 1909 włącznie.

Póżniej nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nadesłały dokładne rozwiązanie tak łamigłówki jak też znaczenie wyrazów.

Rozwiązanie Zadania konikowego, zamieszczonego w nr. 2-gim:

Sto milionów marek — to nie fraszka!
Dość, by wykupić województwo całe;
Lecz sprawa z duchem polskim nie igraszka.
By go wygubić, i Niemcy za małe;
Przemoc dusi prawo, lecz go nie zgniecie,
Bo większy Pan Bóg niż pan Rymsza przecie.

Czesław Lubiński.
(Ks. Konstanty Damroth.)

Dobre rozwiązanie nadesłali i otrzymali nagrodę: pp. Maryan Kosmowski z Poznania, Tomasz Piecha z Burowca na Górnym Śląsku i Br. Ludwik (Jan Skałuba) z Mogiły pod Krakowem.

Nadesłano.

Czarna ręka.

Powieść amerykańska. Tłumaczyła z angielskiego **E. M.**

5

(Ciąg dalszy).

— Zdaje mi się, — odpowiedział, — że przedostaniemy go na drugą stronę........ Ciasno będzie wprawdzie, ale on szczupły, chudy — jak szczypawka. Trzeba to jakoś urządzić. Miał on służbę na kurytarzach, widziałem go tam, schodząc na dół. Zniknięcie jego nie wzbudzi więc niczyjego podejrzenia. Jak łatwo mógł wpaść w morze! Niedoświadczony w służbie — — —

— Well, John, — przerwał piękny Bob. — Kapitan nie może też wcale hałasu robić — wszakże popełnił oszukaństwo, przyjmując na okręt detektiwa w roli majtka! Przepisy na okrętach niemieckich bardzo są ostre!

— A baronowa?

Oczy Boba błysnęły.

Lecz John podniósł rękę.

— No, no! — upomniał go łagodnie.

Bob spojrzał mu śmiało w oczy.

— Możesz być zupełnie spokojny, — odrzekł. — Ona będzie spała jeszcze co najmniej pół godziny — tam, na kanapie. Nie zdradzi nas — nie obawiaj się — wstydziłaby się pewnie.........

Ale usta jego drżały mimowoli, a twarz gorącym pokryła się rumieńcem.

John wzruszył ramionami.

— Nie pora teraz na rozczulanie się, — zawołał ostro. — Dalej, do pracy.

Bob odśrubował zawiasy u okna i razem z Johnem usiłował przepchnąć przez nie związanego detektiwa.

Z natężeniem wszystkich muszkułów wił się Perosini jak wąż, chcąc zyskać chociaż trochę na czasie. Nie miał żadnej wprawdzie nadziei ratunku, lecz bronił się jak mógł, aby opóźnić chwilę śmierci.

Daremnie!

Głowa i ramiona jego już były po drugiej stronie okna, nierówna ta walka nie mogła trwać dłużej nad kilka minut.

Ale w tej chwili okropnej usłyszał tuż nad sobą cichy głos oficera i to nowej dodało mu odwagi.

— Gumpert! — szepnął oficer po raz drugi, zbliżając się jeszcze więcej do miejsca, nad oknem:

Perosini, blizki śmierci, odzyskał do tyle przytomność umysłu, że w jednej sekundzie ułożył plan ratunku. Udawając zupełnie wycieńczonego walką, nie stawiał już żadnego oporu, i pozwolił się spokojnie pchać dalej przez okno.

John i Bob nie domyślali się podstępu.

Lecz nagle, zbierając resztę sił, rzucił się Perosini na prawo i związanemi nogami uderzył Johna tak silnie w pierś, że Irlandczyk, nie spodziewając się czegoś podobnego, upadł jak długi na ziemię, potem przewracając się szybko na lewo, uderzył butami w leżącą przy oknie szybę i roztrzaskał ją na drobne kawałki.

John podniósł się i zaklął straszliwie.

Oficer usłyszał brzęk tłuczonego szkła i zdumiał, a widząc, że Perosiniego nie ma na umówionem miejscu, domyślił się natychmiast, że na dole zaszło coś nadzwyczajnego. Przypomniało mu się, że Perosini miał dzisiejszej nocy schwycić złoczyńców na gorącym uczynku i postanowił pospieszyć mu na pomoc.

Przechyliwszy się nad poręczą, ujrzał z przerażeniem wiszące w oknie ciało Perosiniego. Gwizdnął więc czemprędzej na swoich ludzi — w mgnieniu oka zapełnił się pokład strażą i majtkami i zanim Bob i John zdołali oprzytomnieć, były już drzwi kabiny wyważone i wszelka nadzieja ratowania się ucieczką, straconą.

Bez słowa skargi pozwolili się obydwaj odprowadzić do więzienia. Bob spojrzał tylko smutnie na Norę, która właśnie otworzyła oczy — tem ostatniem spojrzeniem żegnał tę, którą tak gorąco ukochał i która całem, jedynem była jego szczęściem. Potem wyszedł spokojny i obojętny na wszystko.

— — — — — — — — — — — —

Zaledwie Perosini uczuł się uwolnionym z więzów, pobiegł natychmiast do oficera i szepnął:

— Jest telegram?

Oficer z podziwem spojrzał na detektiwa. Nie zdarzyło mu się widzieć u nikogo jeszcze tyle energii i poczucia obowiązku.

— Jest, — odrzekł.

Perosini odetchnął. Nie zwracając uwagi na nikogo, nawet na Norę, zabrał się do odcyfrowania depeszy, i po chwili następujące przeczytał słowa:

„Na pokładzie Palacyi nie ma przedstawiciela rządu amerykańskiego.“

ROZDZIAŁ III.

Wypadki w kabinie Nory zbudziły przedwcześnie ze snu załogę i pasażerów okrętu. Wszędzie stali oficerowie, marynarze i podróżni i rozmawiali żywo o tem, o czem choć w części słyszeli. Kapitan przesłuchiwał szybko uwięzionych w swoim pokoju, lecz potem wezwał także majtka Gumperta, czyli detektiwa Perosiniego i Norę, która na wpół jeszcze odurzona, opowiadała głosem cichym i drżącym swoje własne spostrzeżenia.

Od obydwóch zbrodniarzy nie wiele można się było dowiedzieć, ale wypadki nocy wystarczały staremu kapitanowi zupełnie. Polecił Perosiniemu natychmiast uwięzić kupca Bernarda Fisha z Portsmouth, na którym ciężyło podejrzenie, należenia do bandy złodziei.

W towarzystwwie oficera i dwóch majtków udał się Perosini do kabiny Fisha.

Ale nikogo tu już nie znaleźli. Pootwierane kufry i porozrzucane rzeczy świadczyły aż nadto wymownie o tem, że właściciel oddalił się spiesznie i zabrał tylko to, co uważał za najpotrzebniejsze.

Perosini obejrzał najpierw wszystko, co leżało na ziemi, lecz nie znalazł nic, coby go zajmować mogło. Ale wychodząc z kabiny ujrzał tuż przy progu niepozorną, małą

kapsułkę blaszaną, przymocowaną do cienkiego srebrnego łańcuszka. Ktoś nosił to widocznie na szyji. Podniósł kapsułkę i gwizdnął — z kapsułki bowiem wypadł mały, gęsto zapisany kawałek papieru. Był to klucz sygnałowy Mafiosów.

Znalezienie ważnego tego przedmiotu rzucało jeszcze większe podejrzenie na Fisha, to też kapitan wezwał wszystkich oficerów i majtków i kazał jak najstaranniej przeszukać cały okręt. Ale chociaż przejrzeli wszystkie kąty, Fisha znaleść nie mogli.

Po długiem i daremnem szukaniu przyszedł kapitan i oficerowie do przekonania, że w ogólnem zamieszaniu, wywołanem aresztowaniem obydwóch złodzieji, skoczył Fish niepostrzeżenie w morze i uniknął tym sposobem na zawsze sprawiedliwości ziemskich sędziów.

Perosini szukał niezmordowanie. Lecz i on musiał w końcu przyznać słuszność kapitanowi, chociaż trudno mu było uwierzyć, aby tak wytrawny złoczyńca miał sobie odbierać życie z strachu przed procesem, w którym nie można mu było nawet dowieść wspólnictwa z Bobem i Johnem. Z drugiej zaś strony można było przypuszczać, że Fish, po nieudanych zamachach w Londynie, Berlinie, Frankfurcie i teraz na okręcie, obawia się kary Mafiosów i że odebrał sobie sam życie, wiedząc, że go i tak śmierć czeka.

Tylko Nory nie można było przekonać o samobójstwie trzeciego wspólnika zbrodniarzy.

Perosini skorzystał z niewyjaśnionego zniknienia rzekomego kupca o tyle, że udało mu się nakłonić kapitana do spróbowania przynajmniej przewiezienia go na Palacyą, którą już zdaleka można było widzieć.

Ułożono szybko plan próby, i wywieszono natychmiast flagi oznaczające, że Palacya ma się zatrzymać i zwrócić w bok, ponieważ urzędnik rządu angielskiego został powołanym depeszą Marconiego do powrotu.

Palacya sygnalizowała, że gotową jest do przyjęcia gościa.

Na pokładzie Następcy tronu powstał ruch gorączkowy. Spuszczono łódź, wyszukano ośmiu najsilniejszych i najzręczniejszych majtków i jeden z oficerów oświadczył się z gotowością kierowania tej trudnej i niebezpiecznej wyprawy. Perosini tymczaseme przebrał się w zwykłe swoje ubranie i ukazał się zaraz potem na pokładzie.

Palacya zbliżyła się, skręciła w bok i stanęła.

Tu i tam dały się słyszeć słowa komendy, tu i tam spieszono się z ostatniemi przygotowaniami.

Łódź zsunęła się wolno na fale i pasażerowie obydwóch okrętów zgromadzili się tłumnie na pokładzie, aby patrzeć na widok niezwykły i zajmujący.

W tejże chwili rozległ się nad wodą krzyk mewy, którego jednak, jak się zdawało, nikt na Następcy tronu nie słyszał, potem odpowiedział mu inny, pochodzący widocznie z Palacyi. Równocześnie przycisnęła się jakaś twarz na wewnątrz do luki kotwicznej na Następcy tronu i dwoje bystrych oczu wpatrzyło się w Palacyą. Przez pewien czas szukały oczy te daremnie czegoś, ale potem błysnęły radością. Kupiec Fish, okryty czarnym trykotem, wtłoczony w wązkiem miejscu pomiędzy łańcuchem kotwicy, a żelaznym palem, do którego łańcuch był przymocowany, usłyszał odpowiedź na swój sygnał i ujrzał na Palacyi tego, który mu ją dał. Był to jeden z stewardów, stojący na pokładzie i oparty niedbale o poręcz.

Szukano Fisha na całym okręcie i nawet Perosini spojrzał na łańcuch kotwicy, ale nikt nie przypuszczał, aby dorosły człowiek mógł leżeć w miejscu, tak wązkiem i niewygodnem. Czarny trykot, nie różniący się kolorem od czarnego żelaznego łańcucha, strzegł go doskonale przed okryciem. Stary i wytrawny Fish był zawsze na wszystko przygotowany i chociaż nie wiedział poprzednio o obecności detektiwa na okręcie, to jednak wyszukał sobie zawczasu „na wszelki przypadek“ bezpieczne ukrycie.

Po porozumieniu się z stewardem na Palacyi, wyjął z wielkiem natężeniem i mozołem kilka różnokolorowych chustek z kieszeni, wysuwał je w pewnym porządku przez lukę i dał stewardowi następujące uwiadomienie:

„Ostrożnie! Detektiw jedzie do was!“

Każde poruszenie sprawiało mu ból dotkliwy — ogniwa łańcucha wrzynały mu się w ciało, ale zacisnął zęby i odpoczął dopiero, gdy wszystko było załatwione.

Steward na Palacyi udawał, że obserwuje z zajęciem przez lornetkę łódź, zbliżającą się do okrętu, w rzeczywistości zaś spoglądał ciągle ukradkiem na lukę z różnokolorowemi chusteczkami. W końcu wyciągnął i on chustkę i czyścił starannie lornetkę, wykonując przytem dziwne ruchy, na które jednak nikt nie zważał. Ale Fish rozumiał je bardzo dobrze i zadowolony szepnął:

— Wracaj spokojnie do Europy, ty arcymądry policyancie! Ci dwaj ludzie, których tam będziesz śledzić, nie są tymi, których szukasz! Jesteś na zupełnie fałszywej drodze mój przyjacielu!

— — — — — — — — — — — —

Łódź już była spuszczona i właśnie miała odpłynąć, gdy Nora szybko zbiegła z drabiny i zręcznie małą paczkę rzuciła do łodzi, tuż przed nogi Perosiniego. Tylko dwóch majtków widziało tę paczkę i Nora wracając, prosiła ich o zachowanie milczenia. Pasażerowie myśleli, że młoda kobieta chciała raz jeszcze pożegnać tego, który jej dziś w nocy życie uratował i uważali to za rzecz zupełnie naturalną, z Palacyi zaś nikt rzucenia paczki dajrzeć nie mógł. Łódź podnosiła się i spadała z falami. Ani steward, ani Fish nie widzieli tego — steward bowiem, uważając zadanie swoje za spełnione, uznał za bezpieczniejsze wrócić do kuchni, Fish zaś tak był dawaniem znaków zmęczony, że leżał teraz jak nieżywy. Powietrze duszne odbierało mu nieomal przytomność, i gdy mimowoli podniósł rękę, aby poluźnić trykot u szyji, spostrzegł, że nie ma już łańcuszka z kapsułką. Był jednak tak słaby, że na razie nie zdawał sobie sprawy z doniosłości swej zguby; apatyczny i nawpół zemdlony zdał się zupełnie na łaskę i niełaskę losu.

Łódź tymczasem płynęła dalej. Oficer i majtkowie dokazywali cudów odwagi i siły. Co chwilę odpychały bałwany łódź napowrót i kilka razy zdawało się, że wrzucona na okręt rozbić się musi, lecz nadludzkie usiłowania dzielnych marynarzy zwalczyły rozszalałe morze. Po upływie dwudziestu minut płynęła łódź spokojniej i równiej.

I teraz stało się coś nadzwyczajnego.

Gdy łódź przebyła mniej więcej pół drogi, zerwał się Perosini i zaczął żywo rozmawiać z oficerem, który zwykle spokojny i powolny, wymachiwał teraz rękami na wszystkie strony.

Majtkowie przestali wiosłować. Łódź płynęła sama z biegiem fal, Perosini zaś i oficer zbliżyli się ostrożnie do sternika.

Pasażerowie obydwóch okrętów patrzeli zdumieni na to wszystko, nie mogąc pojąć, co się stało. Oficerowie zaczęli się niepokoić, mianowicie gdy ujrzeli, jak jeden majtek po drugim wciąga wiosło do łodzi i pochyla się nad sternikiem.

Przez kilka minut przykra trwała niepewność. Potem widzieli wszyscy, że sternika położono na dnie łódki, że Perosini sam zabrał się do steru, że oficer wrócił na swoje miejsce i wszyscy odetchnęli swobodnie, gdy łódz znów dalej płynęła i nareszcie szczęśliwie stanęła u celu.

Tylko kapitan i załoga Następcy tronu potrząsali

zdziwieni głową i nie mogli pojąć, że taki dzielny i wypróbowany sternik jak Petersen, mógł nagle tak zasłabnąć.

Powrót łodzi odbył się bardzo gładko i spokojnie. Ciężka i niebezpieczna próba udała się doskonale pomimo wypadku z sternikiem.

Raz jeszcze salutowały obydwa morskie kolosy flagami i sygnałami, poczem każdy z nich w przeciwną udały się stronę.

ROZDZIAŁ IX.

Na ulicy St. Denis, tuż przy restauracyi Baratte stało kilkanaście osób w nędznych łachmanach. Zimny deszcz padał nieustannie, a biedni, przemarznięci ludzie mokli aż do szpiku kości. Wszyscy spoglądali z upragnieniem na jasnooświecone okna ponurego, wysokiego budynku, przed którego zamkniętą bramą właśnie stali. Budynkiem tym był „hotel,“ a raczej schronisko, dom przytułku dla takich biednych, którzy nie mogli zapłacić więcej jak 20 centymów za pozwolenie przepędzenia nocy pod dachem. Ale ci, którzy się tu zgromadzili, nie mieli nawet tych kilku groszy.

— O łotry jakieś, — zawołał jeden z mężczyzn, wsuwając ręce do kieszeni i tupiąc nogami w rozmokłą ziemię, — dobrze nas urządzili!

Towarzysz jego wzruszył ramionami.

— Co robić! Nie pozostawało nam nic innego, jak usłuchać! I jeżeli sobie dobrze tę rzecz rozważymy, to musimy przyznać, Bob, że oni mają słuszność.

Bob rozgniewał się.

— Chcesz mi znowu przypomnieć, że was wtrąciłem w nieszczęście? — zawołał.

— Ani mi się nie śni, ale ty sam pewnie nie zapomnisz o tem, co ci Bernard powiedział — to jest, że przy załatwianiu naszych spraw nie można się sercem kierować. Business is business. Jeszcze tak źle się z nami nie skończyło. Nie podoba mi się tu wcale — ale bądź co bądź jest mi tu jednak przyjemniej niż w Sing-Sing.

W tejże chwili dał się słyszeć turkot jadącego powozu. Wśród nędzarzy, stojących w ściśnętym szeregu na chodniku, powstał ruch i zamieszanie. Byli oni stałymi gośćmi schroniska i wiedzieli, że czasem przybywali tu podróżni, aby dom ten zwiedzić. Przy takich okazyach dostawali biedacy nieraz po kilka groszy od bogatych turystów.

I tak dziś też było. Przed „hotel“ zajechała doróżka, z której wysiadło dwóch panów. Doróżkarzowi kazali czekać. Biedni otoczyli ich natychmiast i zaczęli prosić o jałmużnę, nawet i Bob zdjął kapelusz i wyciągnął rękę, lecz towarzysz uchwycił go szybko i pociągnął za sobą.

— Co się stało, John?

— Głupia historya! Nie masz ty żadnej pamięci co do twarzy?

— Mam jej tyle, aby Perosiniego poznać natychmiast, chociażbym był sto lat stary! Ale kto są ci dwaj panowie?

— Dowiesz się zaraz mój chłopcze. Jednego z nich nie znam wprawdzie i myślę, że to jeden z wytwornych bogaczy z za morza, który przybył tu, aby używać przyjemności życia, ten drugi natomiast jest Buttle z Scotland-Jard.

Bob uderzył się pięścią w czoło.

— A do djabła, — szepnął, — masz racyą! Widzę go jeszcze, jak na Regent-Street nakładał bransoletki Bernardowi i Elizie i to z taką zimną krwią i z takim spokojem, jak gdyby fajkę zapalał. Niech go pioruny zatrzasną. Czego on tu znowu chce?

John roześmiał się.

— Mam nadzieję, — odrzekł, — że tym razem nas nie szuka, jestem jednak pewny, że ucieszyłby się, gdyby nas zobaczył i gdyby nam mógł żelazne bransoletki na ręce założyć.

Po tych słowach umilkli obydwaj. Dla rozgrzania się zarzucał Bob ręce na krzyż i przestępował z nogi na nogę.

—Więc co robić? — zapytał po chwili.

— Od czasu kiedy moją Gabryelę zabrali do Saint-Lazare, nie wiem, zkąd wziąść jaki grosz. Wielkich zamachów wykonywać nie możemy, a nie warto znowu o parę franków pracować w Boisle coup du pere francais. Nie tęsknię wcale za Nową Caledonią. I w ogóle — cała ta robota nie jest w moim guście.

Bob chciał mu odpowiedzieć, lecz w tejże chwili wysunęła się z przeciwległego domu jakaś postać kobieca i zbliżyła się do nich. Była to jedna z tych nieszczęśliwych istot, zaludniających ulice przedmieść paryskich. Nadawała się ona doskonale do tego smutnego towarzystwa — nikomu też nie podpadło tutaj, że pierwsza odezwała się do Boba.

— Jakiś ty ładny chłopiec! I nie masz nawet dosyć pieniędzy na opłacenie noclegu?

Nie to, że go zaczepiła, wprawiło Boba w zdumienie, lecz słowa, jakie wymówiła. Miał on czapkę zsuniętą na twarz tak, że nikt obcy nie byłby go poznał, a przynajmniej nie byłby mógł dojrzeć, czy ładny jest, czy brzydki! Ale teraz podniósł głowę, odsunął czapkę i światło latarni padło mu w całej pełni na twarz. Był on rzeczywiście zawsze jeszcze piękny chociaż nędzne życie, jakie wiódł w ostatnim czasie, dało mu się porządnie we znaki.

Zamiast odpowiedzieć dziewczynie, spojrzał na Johna i milczał.

— Sapristi, — rzekł John — nie straszna — ale co tu robisz o tej porze?

Dziewczyna wykonała ręką ruch dziwny — jak gdyby w powietrzu róg wyrysowała.

— Aha! — zawołał John.

Dziewczyna była wysłanniczką Mafiosów. John wiedział, że Bob musi jej słuchać. Ale przedewszystkiem chodziło o zachowanie największej ostrożności.

— Głupstwo, — rzekł niedbale do Boba. — Ciesz się, że zyskałeś taką wielbicielkę! O mnie już się nie troszcz wcale.

A zwracając się do dziewczyny, dodał:

— Zabrano ci pewnie twego opiekuna?

— Tak, — odrzekła najzwyczajniejszym żargonem ulicznym. — Pobił przed kilku dniami pewnego brygadyera tak, że go o mało na drugi świat nie wyprawił. I za to zawieźli go dziś do Quai Orfeones.

Bob zaczął się niecierpliwić.

— Masz pieniądze? — zapytał szorstko.

— Trochę.

— Więc daj memu przyjacielowi kilka groszy.

Dziewczyna wyjęła małą, cienką portmonetkę i wydobyła z niej kilka monet. Ale przy tej sposobności wsunęła w rękę Johna mały kawałek papieru.

John schował wszystko razem do kieszeni.

— Gdzie mieszkasz? — zapytał po chwili.

— Rue Barbere — jest to poprzeczna ulica na Championnet, w północnej części miasta, pod numerem drugim.

— Dobrze, wiem, gdzie znajdę mego przyjaciela. Pielęgnuj go dobrze — jest on do innego przyzwyczajony życia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozczarowanie.

15 Powieść z spółczesnego haremu tureckiego.

(Ciąg dalszy.)

Andrzej zamierzał wziąść urlop na dwa miesiące do Francyi a Dżenana miała przebyć z babką zimną porę roku w swej posiadłości Bunar-Baczi. Nie mieli przeto zobaczyć się prędzej jak na wiosnę a do tego czasu mogło zajść tyle nieprzewidzianych rzeczy...

Niedzida dn. 12 grudnia 1904 — dzień po wielu obliczeniach i zmianach obrany, na tę wycieczkę — był jednym z tych, które w zmiennym tym klimacie nieraz w połowie zimy między okresami śniegów nastają niby dni latowe. Przy moście Złotego Rogu, skąd wyjeżdżają małe parowce do azyatyckich urwisk nadbrzeżnych, spotkał się Andrzej z trójką przy słonecznej pogodzie, nie zdradzając się niczem, tak iż byli niby podróżni nie znający się wcale. Jakby wypadkiem wsiedli na ten sam parostatek, na którym przyjaciółki jego zajęły miejsca bardzo przezornie w części dla kobiet przeznaczonej t. z. Rufle haremie, poprzednio pozbywszy się murzynów i murzynek.

Przy pięknej pogodzie wiele osób znajdowało się dnia tego na statku i wybierało się na przechadzkę na drugim brzegu. Po wyjściu z parowca odczekano wpierw, aby reszta podróżnych oddaliła się, poczem Andrzej wziął powóz, który miał zawieść ich aż do samego celu. Wszyscy czworo zajęli miejsca w powozie, co na wsi nie podpada. W czasie drogi humory mieli doskonałe. Wybrzeże polecone im leżało w dość znacznej odległości a droga do niego była zła, ale przybywszy na miejsce, zapomniało się wkrótce o niewygodzie przebytej. Nadzwyczajnie łagodne powietrze panowało przy tej małej zatoce. Wstąpiwszy na niewielką skałę nie było widać nikogo na całej rozległej dolinie wokoło. Bez obawy, aby kto miał zaskoczyć je niespodzianie, trzy przyjaciółki uniosły wuale aż pod włosy i swobodnie oddychały balzamicznem wolnem powietrzem. Nigdy dotąd nie widział Andrzej tych ładnych młodych twarzy na wolnem powietrzu i w słońcu; nigdy też nie czuły się tak zupełnie bezpiecznie jak dnia tego.

Najprzód rozsiedli się w koło na piasku i zajadali karmelki i biszkopty, które w drodze na parowiec zakupili w najlepszych składach cukierniczych. Po ukończeniu tej uczty przy wesołej gawędzie i śmiechach, nastąpiło zbadanie wszystkich stron zatoki, która na teraz mogła uchodzić za ich własność. Wszędzie wdrapywała się wesoła czereda, żartując między sobą, i przyszła do przekonania, że wszystko nad zatoką jest bardzo ładne. Andrzej wpatrując się w Dżenanę, która w najbliższych dniach miała wyjechać do swego zamku do Macedonii, radował się wszystkiem co rzadkiego i pięknego dawał mu ten dzień.

— Kto wie — mówił sobie — może nie zobaczymy się więcej, albo może nie tak swobodnie i serdecznie usposobieni? Jest to zatem godzina, którą na całe życie trzeba w pamięci zachować.

Według umowy po kolei wstępowali na małe skaliste urwisko, aby dać znać, czy nie nadciąga nikt zagrażający im. Zaledwie Zeyneba stanęła na szczycie oznajmiła, że Turek idzie wzdłuż morza również w towarzystwie trzech czarnych postaci z podniesionemi welonami. Dżenana była zdania, że nie ma w tem nic groźnego i można dopuścić do spotkania, lecz przywdziały jednak swe welony. Gdy Turek zbliżył się, niezawodnie rzeczywisty bey, który prowadził na spacer swe kobiety haremowe, zapuściły one również welony ze względu na Andrzeja. Mężczyźni spojrzeli na siebie obojętnie, bez podejrzenia z jednej lub drugiej strony. Nieznajomy nie wątpił, że napotkane towarzystwo tworzy jednę i tę samą familię.

Drobne, gładkie kamyczki, jakie morze wyrzuciło na brzeg, przypomniały Andrzejowi igraszki dziecięce. Uczył przeto przyjaciółki jak ciskać je płasko na powierzchnię wód czyli „puszczać kaczki“ tak, aby kilkakrotnie od wody odskakiwały dalej. Zaraz zabrały się do tego namiętnie, aby nauczyć się tej gry, ale nie udało im się. Boże! Jak dziecinne, jak proste i swobodne były te trzy biedne uciemiężone! Mianowicie Dżenana, która tyle zadawała sobie trudu by zatruwać sobie życie! Po upływie tej niezapomnianej, prześlicznej godziny pospieszyli do swego powozu czekającego na nich w znacznej odległości, aby udać się z powrotem do Skutari. Na okręcie nie znali się znowu, ale zażywali wspaniałego widoku, jaki nastręczał Stambuł w oświetleniu zachodzącego słońca.

XXXV.

Dżenana do Andrzeja.

(Nazajutrz).

„Jeszcze raz uratowane! Ah! Co przeszłyśmy za historyę po naszym powrocie! Ale już znowu spokój w domu. — Czy zauważyłeś przy powrocie jak pięknym jest nasz Stambuł?

„Dziś deszcz smaga wraz z nawpółstopniałym śniegiem w nasze szyby, a lodowaty wiatr gwiżdże i zawodzi pod naszemi drzwiami. Jak byłybyśmy nieszczęśliwe, gdyby takie powietrze było wczoraj. Teraz gdy przejażdżka nasza należy do przeszłości i pozostawiła nam wspomnienie miłego snu, niechaj dmą i huczą wszystkie wichry Czarnego Morza.

„Nie będziemy mogli się już zobaczyć przed moim wyjazdem; okoliczności nie pozwalają urządzić więcej spotkania w Stambule. A więc przesełam Ci niniejszem: do widzenia!... Bez wątpienia do wiosny! Ale chcesz jedno zrobić o co Cię poproszę? Jadąc do Francyi zabierz ze sobą fez, a ponieważ zamierzasz odbyć tę podróż na okręcie, więc wsiądź na pokład takiego, który zatrzymuje się w Salonice. Parostatki pozostają tam w porcie przez kilka godzin, a mam sposób, aby się z Tobą tam spotkać. Jeden z mych murzynów przyjdzie na pokład i przyniesie Ci odemnie zlecenie. Nie odmawiaj mej prośbie!

„Niechaj szczęście Ci towarzyszy w podróży i w ojczyźnie!“

Dżenana.

Po odjeździe Dżenany Andrzej pozostał jeszcze pięć tygodni w Konstantynopolu, gdzie widział się jeszcze z Zeynebą i Melek. Gdy czas urlopu nadszedł, wyjechał parostatkiem na Salonikę, jak życzyła sobie Dżenana, i zabrał fez. Lecz w Salonice nie pojawił się murzyn, więc przy-

stanek tamże zaznaczył się jedynie zawodem, skutkiem niespełnionych oczekiwań, a nadto smutnemi wspomnieniami Nedżiby unoszącemi się jeszcze nad tem miastem i na okolicznych górach. Pojechał dalej bez słowa wiadomości od swej nowej przyjaciółki.

— — — — — — — — — — — —

W kilka dni po powrocie do Francyi odebrał następujący list od Dżenany:

Bumar-Baczi 10-go stycznia 1905.

„Kiedy i przez kogo uda mi się to, co piszę, oddać na pocztę wobec tylu stróżów?!...

„Jesteś tak daleko, a nie jesteśmy pewne, czy wogóle powrócisz! Kuzynki moje pisały mi o Waszem pożegnaniu i wyobrażam sobie, jak są smutne po Twym wyjeździe.

„Jak to dziwne, że są ludzie, którym przeznaczono wlec ze sobą wszędzie swe cierpienie, przenoszące się na wszystko czego się dotkną.... Ty jesteś jednym z takich, bez własnej winy.. Cierpienie Twe nieskończenie zawiłe, może przeciwnie arcyproste... Dość, że cierpisz. Promienie Twej duszy roztapiają się zawsze w cierpienie. Zbliżywszy się do Ciebie trzeba Cię nienawidzieć lub kochać, a kochając Cię trzeba cierpieć z Tobą, przez Ciebie lub za Twym przykładem... I potem oboje cierpią pogrążeni w nocy.

Czem dla mnie byłeś — powiem Ci może pewnego dnia. Moja boleść nie pochodzi ztąd, że odjechałeś, lecz z tego, że Cię poznałam.

„Będziesz z pewnością zagniewany, że nie przyprowadziłam do skutku spotkania w czasie Twego pobytu w Salonice. Byłoby się to dało zrobić na polu tak pustem jak za czasów Twej Nedżiby. Bylibyśmy mogli rozmawiać dziesięć minut, zamienić kilka słów pożegnania i uścisk dłoni. Atoli boleść moja nie byłaby się przez to zmniejszyła, lecz przeciwnie powiększyła.

„Z przyczyn, które muszę u siebie zachować w tajemnicy, wyrzekłam się tego spotkania. Ale nie stało się to z obawy przed niebezpieczeństwem o! nie! bynajmniej! Gdybym spotykając się z Tobą, wiedziała, że za mym powrotem czeka mnie pewna śmierć, nie byłabym się wahała przynieść Ci pożegnania mego serca tak, jak serce moje byłoby tego pragnęło... My dzisiejsze Turczynki nie obawia my się śmierci. Czyż miłość nie zapędza nas do grobu? A kiedyż miłość miała to samo znaczenie co życie?...“

Dżenana.

Melek, której przypadło polecenie wysłania tego listu do Francyi, dołączyła w tej samej kopercie kilka następujących uwag:

„Myślałam długo o Tobie, przyjacielu i jestem pewną, że znalazłam kilka przyczyn Twego cierpienia. O ja Ciebie znam teraz, bądź tego pewnym.

„Przedewszystkiem pragniesz wszystkiego zawsze na całą wieczność... i nigdy nie używasz niczego zupełnie, bo mówisz sobie: „to się skończy...“

„A potem: Życie obdarzyło Cię swemi daramı tak hojnie, miałeś w ręku tyle pięknych rzeczy, których cząstka byłaby wystarczyła do uszczęśliwienia innego człowieka! Tymczasem Ty wszystko wypuściłeś z rąk, bo miałeś za wiele... Ale największem Twem nieszczęściem jest, że byłeś zanadto kochanym i że za często Ci to powtarzano. Za często dawano Ci do zrozumienia, że jesteś niezbędnym w tych kołach, do których należysz. Zawsze ludzie ubiegali się o Ciebie. Nigdy nie potrzebowałeś ani kroku zrobić w celu zdobycia uczucia, lecz czekałeś na nie.

„Teraz wydaje Ci się wszystko pustem i czczem, bo sam nie kochasz, lecz pozwalasz się kochać!... Wierzaj mi: pokochaj ze swej strony którąbądź ze swych mnogich wielbicielek, a przekonasz się jak Cię to uzdrowi.“

Melek.

List Dżenany nie podobał się Andrzejowi, bo wydawał mu się nienaturalnym. „Gdyby przywiązanie jej było tak głębokiem — mówił sobie — przedewszystkiem i mimo wszystko pragnęłaby mnie pożegnać czy to w Stambule czy w Salonice! Za wiele literatury było w jej liście...“ Był rozczarowanym, zaufanie jego do niej zachwiało się i cierpiał nad tem, zapominając, że była to kobieta wschodu o wiele więcej w uczuciach swych tajemnicza i niezbadana od kobiet europejskich.

Był skłonnym w odpowiedzi swej traktować ją jako dziecko, jak to nieraz robił, jako „istotę noszącą swe cierpienie ze sobą...“

Lecz nie! Zamieniłby się w staroświecki typ, który sam uważał za przestarzały od roku 1830. Lękał się, aby nie pójść za daleko i odpowiedział w poważnym tonie, wyznając, że bardzo go dotknęła, każąc mu odjeżdżać bez pożegnania.

Nie było można wprost korespondować z nią w Bunar-Baszi, wszystkie listy musiały przechodzić przez ręce Zeyneby lub Meleki lub innych współwinowajczyń.

Po trzech tygodniach odebrał w liście Zeyneby następujących kilka wierszy:

„Andrzeju, czyż ja mogłabym cię obrazić jakiemkolwiek słowem lub uczynkiem, będąc wobec ciebie poprostu niczem! Czyż nie wiesz, że wszystkie moje myśli, moje skłonności są tak nikczemnemi rzeczami, że możesz po nich deptać, jak po starym dywanie, po którym wolno deptać twym stopom?...

Taką jestem... A ty mógłbyś gniewać się z mej przyczyny? Albo obrazić się na mnie?“

Dżenana.

W tym liście była znów zupełnie kobietą wschodu i Andrzej, który był przez to ucieszonym i wzruszonym, odpisał jej zaraz i to wyrazami tkliwego przywiązania — tem więcej, że Zeyneba donosiła:

„Dżenana jest chora. Cierpi na nerwową febrę nieustanną, która bardzo niepokoi naszą babkę a lekarz nie wie co o tem sądzić...

W kilka tygodni później Dżenana dziękowała mu listem krótkim i czysto oryentalnym jak poprzedni:

Bunar-Baszi 21 lutego 1905.

„Od kilku tygodni pytam się jaki środek może mnie uleczyć. I teraz przyszło lekarstwo, ten drogocenny środek! Oczy moje, które rozszerzyły się aż zanadto, pochłonęły go, moje biedne, blade ręce trzymają go jeszcze! O dzięki!... Dzięki Ci, że dajesz mi jako jałmużnę część samego siebie, jałmużnę swych myśli!... Bądź błogosławiony za pokój, który drugi list Twój mi przyniósł...

Życzę Ci szczęścia za to, przyjacielu, jako podziękę za chwilę zgotowanej mi radości. Życzę Ci głębokiego, cichego szczęścia, które życiu Twemu nadawałoby tyle powabu jak wonny ogród, jak jasny, pogodny ranek letni.“

Dżenana.

Chora, powalona na łoże przez febrę, biedna uwięziona stała się znowu dzieckiem doliny Karadżiamiru i, widząc ją w świetle tych czasów, które poprzedzały epokę zdumiewającego wykształcenia, na jakie była tak dumną — Andrzej kochał ją jeszcze więcej.

I tym razem dorzuciła Melek do słów Dżenany kilka słów od siebie. Robiła mu wymówki, że pisuje do nich rzadko i skąpo, a dalej pisała:

„Podziwiamy Cię, że tak czynny prowadzisz żywot i pytamy zarazem jak mamy sobie poradzić, abyśmy także były tak czynne, zajęte, zapracowane i skutkiem tego nie miały czasu na pisywanie do przyjaciół.

My bowiem mamy przez cały dzień czas do pisania na nasze nieszczęście i na — Twoje.“

XXXVI.

Gdy Andrzej Shery po ukończeniu swego urlopu powrócił do Turcyi w pierwszych dniach marca 1905. Stambuł był jeszcze otulony w swój płaszcz ze śniegów, ale niebo było jasne lazurowe. Tysiące wielkich i małych mew krążyło wokoło parostatku, na którym podróżował. Cały Bosfor roił się od tego wesołego ptactwa, którego białe upierzenie doskonale się stosowało do śniegów, pokrywających jeszcze ulice, dachy i cmentarze.

Zeyneba i Melek wiedząc jakim parostatkiem Andrzej przyjedzie, przesłały mu przez swego najwierniejszego murzyna powitalne swe „selam'y“ oraz równocześnie długi list Dżenany, która — jak donosiły — powróciła już do zdrowia ale miała jeszcze pobyt swój w dalekim starym pałacu przedłużyć.

Przyszedłszy znowu do sił dawniejsza prymitywna kobieta z doliny Karadżjamiru stała się jak przedtem samoistną i zamkniętą i wcale nie tem pokornem stworzeniem, którego uczucia przyjaciel mógłby deptać nogami. O! nie! Pisywała teraz listy namiętne i oburzone. Za kratami haremów bowiem powstały plotki o książce, którą Andrzej miał pisać. Pewna młoda pani, którą raz tylko widział i to w czarnych osłonach, miała podobno jak utrzymywano przechwalać się, że jest z nim na przyjacielskiej stopie i dostarczyła mu arcyważnego materyału pisarskiego. A Dżenana, biedna uwięziona kobieta hen daleko, wpadła z tego powodu w wielką zazdrość i pisała w jednym z listów do Andrzeja:

„Czy nie pojmujesz jaki bezsilny gniew musi nas przejmować, gdy pomyślemy, że inne osoby wciskają się pomiędzy Ciebie a nas? A jeszcze gorzej, gdy te rywalki mięszają się w sprawę, która jest naszem dziełem: wspomnienie Twe z oryentu i nagromadzone tamże wrażenia. Czy nie wiedziałeś, czy zapomniałeś, że my przytem życie nasze stawiamy na kartę? A to jedynie, abyś mógł jaknajwięcej uzupełnić wrażenia z naszej ziemi a nie, aby zdobyć Twe serce, bo wiemy, że ono zmęczone jest i mocno zamknięte! Nie! Stało się to, aby artystyczną Twoją wrażliwość podsycić, że tak powiem, dostarczyć Ci przez pół rzeczywistego snu.

Aby to uskutecznić, co wydało się niemożliwem, aby Ci ukazać, czego bez nas nigdy nie byłbyś poznał — odważyłyśmy się z otwartemi oczyma obciążyć duszę naszą wielkiem zmartwieniem i ciągłym niepokojem. Czy sądzisz, że wiele kobiet europejskich postąpiłoby tak samo?

O! Są godziny, w których myśl, że mogłyby nasunąć się Tobie inne refleksye wypierające nas z twej pamięci — jest torturami! Straszną jest myśl, że inne wrażenia mogą Ci być droższe niż wywiezione z Turcyi, które zebrałeś przez nas i z nami.

Pragnęłabym, abyś ukończywszy swoją książkę nigdy więcej nie napisał nic podobnego a twe bystre mądre oczy nie zachodziły nigdy już łzami współczucia dla innych...

Gdy życie jest mi zbyt nieznośnem, mówię sobie, że długo nie potrwa... a gdy się z niem rozstanę, wtedy — jeźli wyzwolone duchy mogą oddziaływać na pozostałe — moja dusza opanuje Twoją, aby ją do siebie przyciągnąć i gdzie bądź będę się znajdować, będzie musiała przyjść do mnie.

Wszystko co mi pozostało ze życia oddałabym natychmiast, aby chociaż [illegible] dziesięć minut czytać w Twem sercu. Chciałabym mieć tę moc, aby zadać Ci ból i chciałabym wiedzieć, że cierpisz. Takie mam pragnienie chociaż niedawno jeszcze byłabym chętnie oddała życie, aby Cię widzieć szczęśliwym!

Czy tak obfitujesz w przyjazne dusze, że postępujesz z niemi tak lekceważąco! Czy to szlachetnie, że osobie tak Cię kochającej zgotowałeś tak wielkie zmartwienie?...

Osobie kochającej Cię zdaleka w bezinteresownej tkliwości?... Nie odpychaj lekkomyślnie sympatyi, która — lubo wymagająca i zazdrosna — jest jednak dlatego może właśnie jaknajszczerszą i jaknajgłębszą, jaką spotkałeś w życiu...

Dżenana.

Po przeczytaniu tego listu Andrzej czuł się poprostu zdenerwowanym. Zarzuty te były dziecinne i bezpodstawne, bo między Turczynkami nie miał innych przyjaciółek prócz tych trzech. „Tym razem — mówił sobie — nie można taić przed sobą, że brzmi tu istotnie fałszywa nuta, jakiś dysonans w harmonii tych trzech siostrzanych związków przyjacielskich, harmonia, którą uważałem zawsze za zupełnie niewzruszoną. Biedna Dżenana, czy to podobno!?“

Starał się wyjaśnić sobie nowy stan rzeczy, który wydawał się bez wyjścia.

„To nie może być — mówił sobie. — I nigdy się nie stanie, bo nie chcę, aby się stało. A zatem sprawa skończona o ile mnie się tyczy. Z mej strony kwestya jest zamknięta.

Jeźli tak mówił zasługa jego nie była bardzo wielką, bo miał to silne przekonanie, że Dżenana nawet jeźli kochała go, zawsze pozostanie nieuchwytną. Znał już teraz to małe stworzenie zupełnie dokładnie i wiedział, że jest jednocześnie wylaną i wyniosłą, szalenie śmiałą i nieskazitelną.

Mimo to romantyczna ta sprawa wydała mu się nieco groźną, bo przyszły mu na myśl słowa, które kiedyś wyrzekła. Wówczas pozostawiły go nieczułym, lecz obecnie nabrały poważnego brzmienia: „Miłość muzułmanki do Europejczyka nie ma innego końca, jak ucieczkę lub śmierć.....“

— — — — — — — — — — — —

Nazajutrz jednak przy pięknej pogodzie wszystko wydało mu się mniej poważnem. Jak przedtem mówił sobie, że list zawierał wiele literatury, a nadto wiele oryentalnej przesady. Z ulgą na sercu udał się do Stambułu, aby spotkać się w Sułtani-Selim z Zeynebą i Melek, które pragnął znowu zobaczyć.

W skromnym haremie starego domku w uliczce bez wyjścia ciemno było jeszcze. Obie siostry przyjęły go z wzniesionemi zasłonami i przywitały po przyjacielsku jakby brata powracającego z podróży. Jednakże przykre na nim zrobiła wrażenie zmiana w ich twarzach. Oblicze Zeyneby było woskowe, oczy jej powiększyły się, a wargi zbladły. Widocznie zima w tym roku ostra powiększyła jej chorobę. Niemniej Melek była bledszą niż dawniej a na czole jej zarysowywała się brózda nadająca rysom wyraz pewnej zgryzliwości.

— Chcą mnie znowu wydać za mąż! — rzekła krótko i ostro w odpowiedzi na nieme pytanie, które odgadła w spojrzeniu Andrzeja.

— No, a Zeyneba? — spytał Andrzej.

— Oh! ja!... Ja jestem przed tem zabezpieczoną — odparła wskazując na swoją pierś, którą od czasu do czasu wstrząsał podejrzany kaszel.

Obie zaniepokoiły się niemało listem Dżenany, do Andrzeja pisanym, który przechodził przez ich ręce ale zapieczętowany. A przedtem nie miały najmniejszego względem siebie sekretu!

— Cóż ona mogła takiego do ciebie pisać!?

— Nic ważnego... Dziecińswa. Jakieś plotki haremowe, które oburzyły ją bez najmniejszego powodu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)